

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 30 (1498) 23 LIPCA 1989 R. CENA 50 ZŁ

W NUMERZE:

„Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela” ● Dlaczego oddajemy cześć św. Annie? ● Z życia naszego Kościoła ● Bez Ostatniego Rozdziału ● Porady



Anioł zwiastuje św. Joachimowi i św. Annie

mal. Szymon Czechowicz (1741)

DZIESIĄTA NIEDZIELA
PO ZESŁANIU
DUCHA ŚWIĘTEGO

LEKCJA

z I Listu
św. Pawła Apostoła
do Koryntian (12,2—11)

Bracia: Wiecie, że gdy byliście poganami, prowadzono was przed niemych bożków i szlście. Przeto oznajmiam wam, że nikt, kto przemawia w Duchu Bożym, nie zlorzeczy Jezusowi. I nikt nie może wymówić „Pan Jezus”, jeno w Duchu Świętym. Są różne dary łaski, lecz tenże Duch. I różne są rodzaje działania, lecz tenże Bóg, który sprawia wszystko we wszystkich. A każdemu dostaje się objaw Ducha dla ogólnego pożytku. I tak jednemu dostaje się przez Ducha mowa mądrości, a innemu mowa umiejętności według tegoż Ducha. Jednemu dar czynienia cudów, innemu prorocstwo, innemu rozpoznawanie cudów, innemu rozmaitość języków, a innemu umiejętność ich tłumaczenia. A wszystko to sprawia jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna, jako chce.

EWANGELIA

według
św. Łukasza (18,9—14)

Onego czasu: Mówił Jezus do niektórych, którzy samymi sobie ufali, jak jakoby byli sprawiedliwi, a innymi pogardzali, tę przypowieść: Dwóch ludzi weszło do świątyni, aby się modlili: jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stojąc, tak się modlił w duszy. Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołóżnicy, jak i ten celnik. Poszczę dwakroć w tygodniu, składam dziesięciny ze wszystkiego, co mam. A celnik, stojąc z daleka, nawet oczu swych nie chciał wnieść w niebo, ale bił się w piersi, mówiąc: Boże, bądź miłosierny dla mnie grzesznemu. Powiadam wam: Ten odszedł do domu swego bardziej usprawiedliwiony niżli tamten. Albowiem każdy, kto się wywyższa będzie unижony, a kto się uniza, wywyższony będzie.

Pierwsze wiersze dziesiątego rozdziału Ewangelii św. Marka zawierają naukę Chrystusa o małżeństwie. Już po pobieżnym nawet zapoznaniu się z treścią tej nauki zmuszeni jesteśmy przyznać, że nie było, nie ma i nie będzie myśliciela i prawodawcy, który podkreśliłby bardziej godność małżeństwa, niż to uczynił Pan Jezus. Nikt też nie stanął tak zdecydowanie w obronie świętego związku mężczyzny z niewiastą. Powinniśmy wszyscy dokładnie znać tę naukę. Najpierw uważnie przeczytajmy tekst przedstawiający naukę Zbawiciela. „A faryzeusze przystąpiwszy do Chrystusa zapytali Go kusząc: Czy wolno mężowi rozwieść się z żoną? A On odpowiadając rzekł im: Co wam nakazał Mojżesz? Oni na to: Mojżesz pozwolił napisać list rozwodowy i oddać ją. A Jezus im rzekł: Z powodu zatwardziałości serca waszego napisał wam to przykazanie. Ale od początku stworzenia uczynił ich mężczyzną i kobietą. Dlatego opuści człowiek ojca swego oraz matkę i połączy się z żoną swoją i będą ci dwoje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. A w domu pytali Go uczniowie znowu o to samo. I mówił im: Kto rozwiedzie się z żoną i ożeni się z

wienia Twórcy ludzkiej natury, człowiek stworzony jest do życia w rodzinie i małżeństwie: „Źle jest człowiekowi samemu, uczynmy mu pomoc jemu podobną” — powiedział Bóg przed stworzeniem małżonki dla Adama. Jednej małżonki! Jednemu Adamowi. Zadanie postawione małżonkom — będziemy o nim szerzej rozważać za tydzień — powołanie i wychowanie potomstwa, wymaga wielu trudów i czasu, więc związek musi być trwały. Bazuje on na miłości danej od Boga, silniejszej od tej, którą żywi każde dziecko względem rodziców: „Dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę, by złączyć się z żoną swoją”. Złączenie to wyrażone słowami przysięgi, aktem zespolenia duchowego i fizycznego jest tak dogłębne, że Zbawiciel nazwał małżeństwo jednym ciałem: „I będą oboje jednym ciałem, tak, że już nie są dwoje, ale jedno”. I dodaje: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”.

Apostołom ta nauka wydała się zbyt surowa, wracają więc do problemu już na osobności, gdy pozostali sami z Mistrzem. W odpowiedzi usłyszeli: „kto rozwiedzie się z żoną i ożeni się z inną, popełnia cudzołóstwo. Jeśli żona rozwiedzie się z mężem i wyjdzie za innego, popełnia cudzołóstwo”. Chrystus

„Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”

inną, popełnia cudzołóstwo. Jeśli żona rozwiedzie się z mężem i wyjdzie za innego, popełnia cudzołóstwo” (Mk 10,2—12).

Fragment tego tekstu cytowaliśmy już w poprzedniej homilii poświęconej wielkości małżeństwa w porządku dogmatyczno-moralnym, ustanowionym przez Chrystusa. Dziś omówimy nierozzerwalność związku małżeńskiego. Przymiot ten miał zawsze wielu przeciwników rekrutujących się najczęściej z tych ludzi, którzy zrazili się do swego własnego małżeństwa. Powodów może być wiele. Bliscy sobie kiedyś ludzie potrafią się zniechęcić do tego stopnia, że nawet los wspólnych dzieci nie powstrzymuje ich od rozwodu. Wówczas stawiają sobie pytanie: Czy wolno rozwieść się z żoną? I skwapliwie sobie odpowiadają: Muszę! Nie mam wyboru! Dłużej nie wytrzymam! Gdy mniej działają emocje, przychodzą wątpliwości. Ci, co wierzą, pytają o radę Boga. Inni radzą się tylko ludzi. I małżeństwa przestają istnieć. Ilość rozwodów ciągle rośnie. Przysięgi zmieniają się w plewy, a miłość wygasa.

Chrystus staje w obronie świętego związku małżeńskiego. To z postano-

broni małżeństwa jako świętego przymierza, które Bóg złączył i Bóg tylko może rozdzielić. Małżeństwo zawarte świadomie i dobrowolnie jest nierozzerwalne na mocy prawa Chrystusowego.

To jest reguła. Czy jednak nie ma od tej reguły wyjątków? Poszczególne Gałęzie Kościoła Chrystusowego nie udzielają na to pytanie identycznej odpowiedzi. Bratni Kościół Rzymskokatolicki szczyli się, że pod żadnym warunkiem nie uznaje rozwodu, więc najwierniej trwa przy zasadzie nierozzerwalności. Równocześnie jednak orzeka w coraz liczniejszych wypadkach nieważność węzła małżeńskiego. Natomiast Kościoły prawosławne, ewangeliczne i starokatolickie są zdania, że Chrystus dał władzę pasterzom swojej Owczarni również nad tym węzłem i po stwierdzeniu jego nieważności lub całkowitego rozpadu, wyrażają zgodę na to, by strona niewinna temu, że węzeł rozpadł się, mogła zawrzeć nowe, religijne małżeństwo. Żaden Kościół nie orzeka o powyższym bez rozwagi i zatroskania. Wszystkim Wspólnotom chrześcijańskim zależy na tym, by małżeństwa były trwałe, szczęśliwe i święte.

Ks. A. B.

Dlaczego oddajemy cześć św. ANNIE?

Stosownie do nauki i praktyki Kościołów katolickich i prawosławnych, oprócz Boga w Trójcy Świętej jedyne, oddajemy również cześć aniołom i świętym. Oczywiście inna jest cześć oddawana Bogu, inna zaś świętym. Oddajemy cześć świętym dlatego, że według powszechnego przekonania ludu Bożego, są oni wiernymi sługami i przyjaciółmi Pana Boga. Oczywiście mamy tutaj na myśli „świętych wybitnych” w odróżnieniu od „świętych przeciętnych”, którymi są wszyscy usprawiedliwieni; a więc ci, którzy zesłali z tego świata w łasce uświęcającej. Chodzi więc tutaj o takich ludzi, którzy jako bohaterowie religijni (męczennicy chrześcijańscy) stali się wzorem do naśladowania, lub też w szczególniejszy sposób (przez swoją naukę i przykład życia codziennego) przyczynili się do rozszerzenia Królestwa Bożego, czyli Kościoła na ziemi. Nie koniecznie i nie zawsze muszą to być święci kanonizowani, a więc urzędowo uznani za świętych. Bardzo bowiem często oddajemy cześć ludziom uznanym za świętych przez zgodną opinię świata chrześcijańskiego. Wiele takich wypadków ma miejsce po II wojnie światowej.

Uważam za konieczne przypomnieć tutaj, że chociaż Objawienie Boże nie zaleca wprost oddawania świętym czci, to przecież nigdy i nigdzie jej nie zabrania. A chociaż istnieje dany kiedyś narodowi żydowskiemu zakaz zawarty w słowach: „Nie czyni sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze, i na ziemi w dole, i tego, co jest w wodzie” (Wj 20,4), to jednak zakaz ten odnosi się do oddawania przezeń czci boskiej figurom i obrazom, na sposób pogański.

Mówiąc o czci świętych, podkreślić należy i to, że nie wszyscy święci zajmują w hierarchii wybrańców Bożych jednakowe miejsce. Szczególniejszej bowiem czci doznają ci, którzy w realizacji boskiej ekonomii zbawienia odegrali wybitniejszą rolę niż pozostali. Wymienić wśród nich należy na pierwszym miejscu: matkę Syna Bożego wedle ciała — Najświętszą Maryję Dziewicę, opiekuna i żywiciela Jezusa — św. Józefa oraz wielkiego poprzednika Chrystusowego — św. Jana Chrzciciela.

Oprócz wyżej wymienionych, już w starożytności chrześcijańskiej szczególniejszej czci doznawała także św. Anna. Zasadniczą zaś tego przyczyną jest fakt, że — według tradycji Kościoła pierwszych wieków — wydała ona na świat matkę Syna Bożego, Jezusa Chrystusa — Maryję. Była więc bardzo bliską osobą Synowi Bożemu, bo jego babką. Z tej więc racji na pewno może nam uprosić u Boga więcej, niż każdy inny święty. Wyrazem czci dla tej wielkiej Patronki oraz przekonania o jej orędownictwie u Boga są słowa starożytnej pieśni kościelnej, w której powtarzamy między innymi:

**„Czynmy świętej Annie dzięki nieustannie
Za jej wielkie dary,
Które nam rozdała, morza łask rozlała,
Na ludzi bez miary;
Anna w każdym czasie za nami wstawia się
I Boga nam błaga,
Człowieka ratuje, nim się opiekuje,
Ubogich wspomaga”.**

W związku ze zbliżającą się Jej uroczystością, w opracowaniu niniejszym postaram się — przynajmniej pokrótce — odpowiedzieć naszym Czytelnikom na pytanie: Dlaczego oddajemy cześć św. Annie? W tym celu przedstawię podstawy kultu św. Anny, jako matki Bogarodzicy.



Sw. Anna i Maryja

* * *

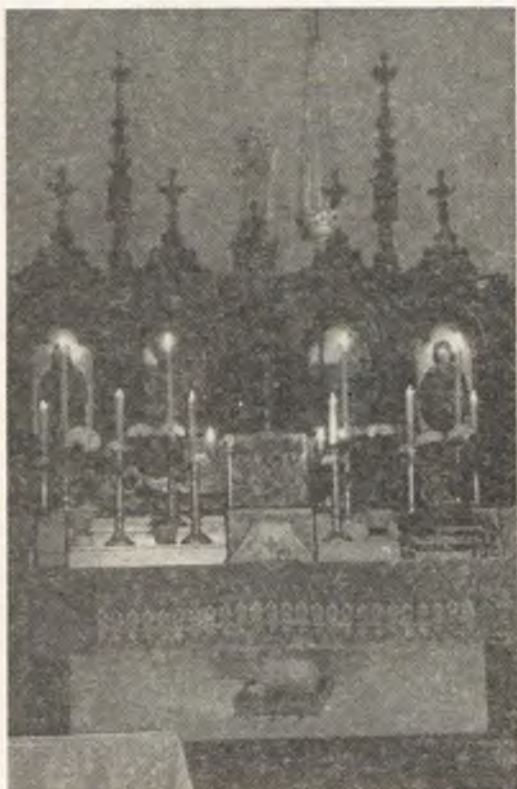
Na wstępie warto przypomnieć, że ani Ewangelie kanoniczne, ani też pozostałe księgi Nowego Testamentu, nie przekazały nam żadnych wiadomości o św. Annie. Co więcej, nie wymieniają nawet jej imienia. Jednak milczenie ksiąg biblijnych stara się uzupełnić — obfita w tym względzie — literatura apokryficzna, już od pierwszych wieków istnienia i działalności Kościoła Chrystusowego. Wymienić w niej należy chociażby takie księgi, jak: powstała około roku 150 — „Protoewangelia Jakuba”, napisana w VI wieku — „Ewangelia Pseudo-Mateusza”, czy wreszcie datowane na VIII wiek — „Księgi narodzenia błogosławionej Maryi Panny i dzieciństwa Zbawiciela”. We wspomnianych wyżej utworach spotykamy liczne szczegóły dotyczące Najświętszej Bogarodzicy oraz jej matki — św. Anny. Według nich Anna wywodziła się z rodziny kapłańskiej z Betlejem, a jej rodzice zamieszkali później w dzielnicy Bezetha w Jerozolimie. Jej mężem został św. Joachim. W księgach tych jest również mowa o ich licznych cnotach i modlitwie, o ich tęsknocie za upragnionym dzieckiem, które ślubują przeznaczyć na służbę Bożą w świątyni jerozolimskiej. Wspomniane księgi nadmieniają o anielskiej zapowiedzi, że prośby ich zostały wysłuchane oraz o narodzeniu Maryi. Dodać tutaj wypada, że są to jedyne źródła wiadomości w tym względzie.

Relacje pisarzy Kościoła wschodniego — pojawiające się w czasach znacznie późniejszych i zdające się w znacznej mierze pozostawać pod wpływem apokryfów — nie są w stanie potwierdzić prawdziwości przytaczanych szczegółów. A chociaż niektóre z nich są same w sobie fałszywe, przecież niemal zuchwalstwem byłoby zaprzeczać im zupełnie. Bowiem równie trudno je udowodnić, jak i z całą pewnością zawarte w nich fakty historyczne oddzielić od legendarnych dodatków.

Więcej bowiem, niż zawarte w pismach Ojców Kościoła wschodniego opowiadanie w tym względzie, z których trudno niekiedy wyluskać ziarno zawartej w nich prawdy, o wysokiej świętości rodziców Maryi zapewnia nas ich powołanie, jakie im wyznaczyła Opotrzność i przekonanie całego Kościoła powszechnego. I rzeczywiście. Bo też wszystkie pokolenia wyznawców Jezusa Chrystusa powtarzały na chwałę Joachima i Anny słowa mówiące więcej, niż najobszerniejsze traktaty pisarzy kościelnych pierwszych wieków. Słowa te — za-

ciąg dalszy na str. 4

Parafia polskokatolicka pw. Imienia Jezus w Grudziądzu



Ołtarz główny



Proboszcz parafii ks. Henryk Nowaczyk w otoczeniu Rady Parafialnej

dokończenie ze str. 3

czerpnięte z kazania Zbawiciela na górze — brzmią: „Po ich owocach poznacie ich” (Mt 7,16). Zaś owocem Joachima i Anny była późniejsza matka Jezusa — Maryja.

Te same racje przemawiają za przyjęciem przekazu tradycji mówiącej, że Joachim i Anna — będąc już w podeszłym wieku — gorącą modlitwą wyprosiłi sobie przyjsie na świat „błogosławionego dziecięcia”, którego pojawienie się było zapowiedzią rychłego przyjsia na świat obiecanego Zbawiciela. Takie przekonanie narastało coraz bardziej w całym Kościele, formując równocześnie coraz żywszy kult św. Anny — matki przyszłej Bożej Rodzicielki.

W europejskiej literaturze religijnej wspomniane już szczegóły z życia św. Anny pojawiły się — pod wpływem apokryfów — dopiero w XIII wieku. W nawiązaniu do nich powstały wówczas na Zachodzie nowe legendy, dotyczące matki Bogarodzicy. Znalazły one swoje odbicie głównie w dziele Wincentego z Beauvais „Zwierciadło historyczne”, oraz w bardzo przez wiele wieków popularnej i komentowanej „Złotej legendzie” Jakuba de Voragine.

Jedna z nich w ten sposób rozszerza opowiadanie „Protewangelii Jakuba”, że po śmierci Joachima przypisuje Annie dwukrotne jeszcze, obdarzone potomstwem małżeństwa. Miały z nich pochodzić wymieniane w Ewangeliach kanonicznych: Maria Salome i Maria Kleofasowa. Temat ten poruszali później tacy jeszcze teologowie, jak Piotr Lombard czy Albert Wielki. Jednak tę osobliwą hipotezę o kolejnych małżeństwach Anny zdecydowanie odrzucali Tomasz z Akwiny i Suarez. Inna natomiast legenda głosi, że doczesne szczątki św. Anny — pogrzebane początkowo w jej domu w Jerozolimie — w VIII wieku przeniesione zostały do Konstantynopola. Inna jeszcze (związana z tzw. „Cyklem Łazarza”) utrzymuje, że przeniesiono je do miejscowości Apt w Prowansji (południowowschodnia Francja), co niczym nie jest uzasadnione.

* * *

Ślady kultu św. Anny spotykamy w Kościele wschodnim stosun-

kowo wcześniej. Bowiem już w VI wieku — jak dowiadujemy się z przekazów historycznych — wzniesiona została w Konstantynopolu świątynia pod jej wezwaniem. Inna, jej poświęcona budowla sakralna istniała w Jerozolimie, w miejscu jej rzekomego grobu. Na Zachodzie natomiast przejaw czci św. Anny spotykamy nieco później, gdyż dopiero w VIII wieku. Miało to być może związku z dziewięcioma przedstawicielami Kościoła wschodniego, którzy w tych czasach zasiadali na stolicy biskupiej w Rzymie. Tak przynajmniej podają nowsi hagiografowie św. Anny.

Kościół powszechny uświęcił wywodzącą się z Jerozolimy tradycję, według której jest Anna matką Maryi Dziewicy. Dokonał tego, aprobując powstałe w starożytności chrześcijańskiej ku jej czci hymny greckie i homilie Ojców Kościoła, a następnie jej kult publiczny. Samo jednak święto ku jej czci obchodzono w różnych terminach. Na Wschodzie przypadało ono bowiem 25 lipca, 9 września lub 9 grudnia. Natomiast na Zachodzie uroczystość ta ustalona została na dzień 26 lipca.

W wiekach średnich kult św. Anny rozpowszechnił się bardzo na Dolnym Śląsku, gdzie dochowało się do naszych czasów około 50 świątyni i kaplic pod jej wezwaniem. Najbardziej chyba znaną jest świątynia ku jej czci na Górze św. Anny (Śląsk Opolski), wokół której powstańcy śląscy toczyli pamiętne boje, o przyłączenie tych ziem do Polski.

Warto też chyba dodać, że św. Anna doznaje również czci w uznających tradycję pierwszych wieków Kościołach starokatolickich. Stąd też — pod datą 26 lipca — jej święto uwzględnia również kalendarz liturgiczny Kościoła Polskokatolickiego, zobowiązujący duchowieństwo i wiernych do obchodzenia jej uroczystości. Specjalnej jednak czci doznaje św. Anna w naszych parafiach w Bielsku-Białej i w Długim Kącie, obchodzących w tym dniu swoje święto patronalne. Szczególniejszą czcią otaczają ją również chrześcijańskie matki, wdowy, kobiety rodzące i żeglarze, wzywający jej orędownictwa i pomocy. Jak więc mieliśmy możliwość w niniejszym opracowaniu przedstawić, kult św. Anny nie tylko nie słabnie na przestrzeni wieków, ale się ustawicznie wzmacnia.

Ks. JAN KUCZEK

EKUMENIA — co to jest?

- Ekumenia to proces; struktury ekumeniczne, jak Światowa Rada Kościołów i krajowe rady ekumeniczne mają charakter służebny i nie są celem same dla siebie.
- Jedność ekumeniczna chrześcijan wskazuje na jedność rodzaju ludzkiego jako warunek powszechnego pokoju.
- W służbie Kościoła, ekumenii, pokoju i ludzkości posługujemy się słowem.
- Spotkanie ekumeniczne z Papieżem Janem Pawłem II w dniu 17 czerwca 1983 r.

Co wiesz na temat ekumenii?

W poznaniu tego zagadnienia cenną pomocą służyć Ci może, drogi Czytelniku, książka ks. prof. Witolda Benedyktowicza — profesora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Autor, jako tzw. visiting professor, wygłaszał wykłady w zagranicznych i krajowych uczelniach, m.in. University of Illinois, Emory University, Goshen College, Elkhart Monnonite Theological Seminary, Princeton Theological Seminary, Uniwersytet w Bonn, Uniwersytet Jagielloński i in.

Tytuł książki brzmi: „EKUMENIA—POKOJ—POJEDNANIE”. Książka ta ukazała się nakładem naszego Wydawnictwa. Objętość książki wynosi 235 stron. Cena zł 650,—

Prosimy o wypełnienie zamówienia i przesłanie na adres:

Administracja Instytutu Wydawniczego
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego
ul. Czardasza 16/18
02-169 Warszawa

Wysyłka nastąpi za zaliczeniem pocztowym.

Z A M Ó W I E N I E	
WYPELNIJ CZYTELNIKU!	Zamawiam książkę pt: „Ekumenia-Pokój-Pojednanie”
	ilość egzemplarzy
	Imię i nazwisko zamawiającego
	Adres

KALENDARZ KATOLICKI NA ROK 1989

Jak co roku, nasze Wydawnictwo oferuje Czytelnikom nowy Kalendarz Katolicki, będący znakomitą lekturą dla każdego, kto interesuje się religią, ekumenią, historią i literaturą piękną.

Każdy znajdzie w nim coś dla siebie, także i nasi najmłodszy Czytelnicy.

Piękna, barwna okładka o tematyce religijnej stanowi dodatkową wizualną atrakcję Kalendarza na rok 1989.

Objętość książki wynosi 250 stron, cena zł 400,—

Prosimy o wypełnienie zamówienia i przesłanie na adres:

Administracja Instytutu Wydawniczego
im. A. Frycza Modrzewskiego
ul. Czardasza 16/18
02-169 Warszawa

Wysyłka nastąpi za zaliczeniem pocztowym.

Z A M Ó W I E N I E	
WYPELNIJ CZYTELNIKU!	(Imię i nazwisko zamawiającego)
	(adres: ulica, nr domu, nr mieszkania, miasto, kod, województwo, wieś)
	Zamawiam egz. Kalendarza Katolickiego na rok 1989. Wysyłka nastąpi za zaliczeniem pocztowym.
	(podpis zamawiającego)

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

KRAJ

ŚWIAT

Dla uczczenia 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej GUS postanowił wznowić wydanie rocznika statystycznego z 1939 roku. Redycja tego wydawnictwa wypełni lukę w informacji statystycznej o Polsce międzywojennej. Mały rocznik z 1939 r. zawiera komplet danych o Polsce roku 1938 na tle lat poprzednich, a niektóre informacje mają porównanie aż z rokiem... 1800.

Minister spraw wewnętrznych, gen. Czesław Kiszczyk, podjął decyzję o zmniejszeniu w najbliższym czasie jednostek wojskowych podległych MSW. Decyzja dotyczy m.in. WOP. Stan liczebny tych wojsk zmniejszy się w tym okresie o połowę.

Rosną koszty wszelkich wyjazdów wakacyjnych, w tym również kolonii i obozów, choć w części pokrywają je fundusze społeczne zakładów pracy. Pełny koszt 21-dniowych kolonii szacuje się na 75—80 tys. zł, lecz w niejednym wypadku sięgnie on 100 tys. Wszystko zależy od organizatora i bazy, z jakiej on korzysta. Koszt trwającego 28 dni obozu harcerskiego wyniesie 65—70 tys. zł. Ministerstwo Edukacji Narodowej szacuje, że w tej sytuacji z możliwości wyjazdu skorzysta ok. 1,6 mln uczniów, czyli tyle co w roku ubiegłym. Dla 1,5 mln dzieci organizuje się wypoczynek w miejscu zamieszkania, ale to oczywiście nie to samo, co możliwość wyjazdu, zwłaszcza dla dzieci z terenów ekologicznie zagrożonych i wymagających wyjazdu ze względów zdrowotnych.

Przesadziłszy z tajemniczością — stwierdził gen. Antoni Walczak. — Tajemnicą wojskową wciąż jest jeszcze to, co widać gołymi oczyma. Zakazem fotografowania objęto budynki nawet wiejskich banków spółdzielczych, a przecież tajne powinno być tylko to, co w sejfach. Charakterystyki techniczne i bojowe naszego sprzętu można znaleźć i w zachodnich folderach.

Rada Europy nadała Polsce, Związkowi Radzieckiemu, Węgrom i Jugosławii status „specjalnego gościa”, umożliwiając przedstawicielom tych krajów czynne uczestnictwo w sesjach zgromadzenia parlamentarnego tej organizacji, bez prawa głosu. Decyzja ta zapadła w Paryżu, na posiedzeniu Biura Zgromadzenia Rady Europy, w którym zaprezentowane są wszystkie kraje członkowskie. Status specjalnego gościa ustanowiono niedawno, zapowiadając przyznanie go tym krajom socjalistycznym, w których nastąpiły postępy w procesie demokratyzacji i reform.

Na Węgrzech osoby bezrobotne otrzymują zasiłek w wysokości średnio 85 forintów dziennie. Podstawą do tego wyliczenia są dotychczasowe zarobki, na ogół niskie w przypadku pracowników bez kwalifikacji. Fachowcom bezrobotnie nie grozi, wiele bowiem przedsiębiorstw poszukuje pracowników, pod warunkiem, że posiadają odpowiednie kwalifikacje. Dlatego w programie restrukturyzacji wielką wagę przykładana jest do szkolenia.

W Związku Radzieckim opublikowano projekt nowej ustawy o prawach związków zawodowych, który porządkuje i znacznie rozszerza dotychczasowe uprawnienia organizacji związkowych. Projekt przewiduje, że związki zawodowe, określone jako samodzielne, niezależne, dobrowolne, niepartyjne organizacje społeczne — będą miały prawo, w wypadku wystąpienia konfliktu zbiorowego między pracownikami a administracją, do zatrzymania pracy w przedsiębiorstwie. Komentując projekt ustawy przewodniczący Wszechzwiązkowej Centralnej Rady Związków Zawodowych S. Szalajew zaznaczył, że wstrzymanie pracy przedsiębiorstwa w określonych sytuacjach (a więc praktycznie — strajk) jest krokiem o charakterze wyjątkowym i ostatecznym.



Wiceprezes Rady Ministrów Ireneusz Sekuła



Andriej Sacharow — znany uczonec i opozycjonista radziecki

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

Jeszcze trochę, a samotne spaceru astronautów po Księżycu uznamy za banalną przygodę, choćby nawet inspirowaną potrzebami naukowymi. Technika podąża bowiem naprzód w takim tempie, że w wiek XXI wkroczy zapewne pasażerskim promem kosmicznym, za sprawą którego co poniektórzy miliarderzy będą mogli zaspokoić swoje snobistyczne gusta, nieczym niegdysiejsze „podlotkowate” ciotce na deptaku w Ciecho-cinku czy środkowoeuropejskim Marienbadzie.

Co do tego przecież, że świat się zmieni, nie ma najmniejszych wątpliwości. Pytanie tylko: jak się zmieni i czy my — ludzie — będziemy mogli to wszystko przetrwać? Cywilizacja bowiem ma dwie strony, które najkrócej można by określić dość alternatywnie: szansa lub zagłada...

Jak widać, wybór jest dość dramatyczny, tym bardziej, że wiele wskazuje na to, iż w swoich dotychczasowych decyzjach człowiek dawno już naruszył prawa rządzącej światem równowagi. Rzecz jasna skutki ujawniają się dopiero po latach, i to często w sposób zupełnie nieprzewidywany. Bo czy możemy przewidzieć dziś, na przykład konsekwencje naszych lotów kosmicznych czy eksperymentów w zakresie inżynierii genetycznej dla życia przyszłych pokoleń? Czy to, co dziś uchodzi za wspaniałe osiągnięcie nauki, jutro nie okaże się tragiczną pomyłką?

Takich pytań nie sposób uniknąć, tym bardziej, że życie potwierdziło niejednokrotnie, czym kończy się w nauce brak wyobraźni.

Przed laty cały bez mała świat wszedł na drogę wielkiej industrializacji. Postęp cywilizacyjny dokonywał się głównie poprzez przemysł ciężki, wymagający surowców a także olbrzymiej ruszki pracowników, i — oczywiście — nakładów. Towarzyszyła mu „wielka chemia”, wkraczająca prawie we wszystko — od artykułów wybitnie użytkowych po żywność. Przed dwudziestu, trzydziestu laty rozwój tych właśnie gałęzi przemysłowych stanowił o nowoczesności, dziś decyduje o niej elektronika, uważana powszechnie za naukę XXI wieku. W jakim kierunku pójdą prowadzone badania? Jakie będzie wykorzystanie dotychczasowych i nowych odkryć?

Nie jest to już wyłącznie dylemat uczonych. To problem całej ludzkości! Na tle współczesnych osiągnięć i odkryć nauki szczególnie aktualny wydaje się być dramat wynalazcy dynamitu — Alfreda Nobla. Jego wynalazek mający służyć przede wszystkim zasypanym w kopalniach górnikom, znalazł przecież także inne zastosowanie — jako broń przeciw ludziom. Odkrycie Marii i Piotra Curie w kilkadziesiąt lat od śmierci obojga uczonych stało się śmiercionośnym ładun-

ciąg dalszy na str. 7

Z zagadnień dogmatyki katolickiej



Sakrament Ducha Świętego

Wśród kilku nazw Sakramentu Bierzmowania na szczególną uwagę zasługuje miano Sakramentu Ducha Świętego.

Przypomnijmy katechizmową definicję Bierzmowania: „Bierzmowanie jest to Sakrament, w którym Duch Święty umacnia chrześcijanina, aby wiarę swoją mężnie wyznawał, bronił jej i według niej żył”. Dziś popatrzymy na ten Znak święty jakby od strony historycznej. Poszukajmy w Biblii tekstów potwierdzających fakt, że Znak ten pochodzi od Chrystusa, przypomnijmy sobie, jak bardzo odmienił Apostołów.

Ustanowienie Sakramentu Bierzmowania

W Piśmie Świętym nie ma wyraźnej wzmianki o tym, że Pan Jezus ustanowił ten Znak Sakramentalny. Istnieje jednak cały szereg racji przemawiających za tym, że Bierzmowanie jest dziełem Jego woli. Kilkakrotnie obiecuje Apostołom umocnienie, którego w nich dokona Duch Święty. Zapowiedzi te mówią o uroczystym darze Ducha, jakby intensywniejszym i pełniejszym od tych działań, które Duch Święty wykonuje przy Chrzcisku św. Takim pełnym wylaniem łask Ducha Bożego na ochrzczonego w ogniu mocy i potęgi jest Bierzmowanie.

Chrystus, żegnając się z Uczniami, mówił im dużo o Duchu Świętym, a przed swoim odejściem do chwały przypomniawszy swoją obietnicę przysłania Ducha Świętego i nawet nakazał, aby nie opuszczali miasta, lecz czekali na przyjście Pocieszyciela, którym będą umocnieni po niewielu dniach. Wszystkie te obietnice zanotował Autor Dziejów Apostolskich: „Jezus po męce przez wiele znaków dał niezbite dowody, że żyje, ukazując się Apostołom przez czterdzieści dni i nauczając o Królestwie Bożym.

W czasie wspólnego posiłku nakazał im: „Nie opuszczajcie Jeruzolimy, ale czekajcie na obietnicę Ojca, o której ode mnie słyszeliście. Jan bowiem chrzczył wodą, wy zaś niedługo otrzymacie chrzest Ducha Świętego. Otrzymacie moc Ducha Świętego, który na was zstąpi, i będziecie moimi świadkami w Jeruzolimie, w całej Judei, w Samarii i na całym świecie”.

Uroczysta ceremonia udzielenia Bierzmowania Apostołom dokonała się w dniu Zielonych Świąt. Apostołowie, posłuszni woli Chrystusa, pozostali w mieście. Trwali w modlitwie przez dziesięć dni

po Wniebowstąpieniu Pana. Gdy tak gorliwie przygotowali się na przyjęcie Gościa z nieba, w poranek świąteczny „powstał nagle szum z nieba, jakby zerwał się gwałtowny wicher i napełnił cały dom, w którym przebywali. Wtedy zobaczyli, że nad głowami ich pojawiły się jakby języki ognia. A Duch Święty napełnił ich wszystkich i zaczęli mówić obcymi językami, jak im Duch dawał”. Takimi słowami opisał święty Łukasz przyjście Ducha Świętego, w szumie wiatru i w ogniu. Szum był potrzebny, by zwrócić uwagę zebranych i całego miasta na cud przyjścia Ducha. To jakby oprawa ceremonii pierwszego Bierzmowania. Na głos dziwnego wichru, który huczał jedynie nad wieczernikiem, zbiegły się tłumy ciekawie niezwykłego widowiska. Wobec wielotysięcznego tłumu Apostołowie ukazali się zupełnie przemienieni duchowo. Przybyły w ogniu Duch Boży oświecił ich umysły i przypomniał całą naukę Jezusa Chrystusa. Mogli teraz swobodnie i z ogromną pewnością głosić Ewangelię. Ogień nie tylko oświeca, ale również rozgrzewa. Z tej racji jest symbolem Ducha i w jego postaci Duch Święty spłynął na gromadkę uczniów Zbawiciela. Stali się nie tylko mądrzy, ale równocześnie niezwykle mężni i odważni. Przemawiali tak płomiennie, że porwali za sobą i przekonali dla Chrystusa mnóstwo ludzi.

Ta niezwykła odwaga Apostołów nie była chwilowym darem. Wszyscy oni — od dnia Bierzmowania aż do śmierci — nieustraszenie świadczą będą prawdę o Zbawicielu i niemal wszyscy za tę prawdę poniosą męczeńską śmierć. Bici, znieważani, kamienowani i zabijani zachowali wiarę ze spokojem niemal z radością, mocni Duchem Świętym. Ten sam Duch przychodzi i do nas w Sakramencie Bierzmowania.

Apostołowie dzielili się z nowymi wyznawcami Chrystusa nie tylko świętymi prawdami, ale też udzielali ochrzczonego Ducha Świętego, czyli bierzmowali. Gdy diakon Filip pozyskał dla Chrystusa wielu ludzi w mieście Samarii, udzielił im Chrztu świętego, a później przybyli Apostołowie, by bierzmować Samarytan. Dzieje piszą: „Apostołowie, którzy byli w Jeruzolimie, usłyszawszy, że Samaria przyjęła Słowo Boże, wysłali do nich Piotra i Jana. Ci po swym przybyciu modlili się za nimi, aby przyjęli Ducha Świętego, na nikogo z nich bowiem jeszcze nie zstąpił, ale ochrzczeni byli tylko w Imię Jezusa”.

Ks. A. BIELEC

OBRADY ZARZĄDU I PREZYDIUM POLSKIEJ RADY EKUMENICZNEJ

30 marca i 3 kwietnia br. w Warszawie obradowały najwyższe gremia Polskiej Rady Ekumenicznej, Zarząd i Prezydium.

Przedmiotem obrad, którym przewodniczył prezes Rady ks. superintendent Adam Kuczma, były sprawy związane z finalizacją prac nad projektem ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania w PRL, przygotowanej przez zespół roboczy przedstawicieli Polskiej Rady Ekumenicznej i Urzędu do Spraw Wyznań.

Podczas obrad zwierzchnicy Kościołów członkowskich Rady dokonali szczegółowej analizy projektu ustawy. Zwrócono uwagę na zasadę zachowania równoprawności Kościołów w ramach ustaw o stosunku państwa do Kościołów. Podkreślono potrzebę zachowania zgodności postanowień ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania z innymi aktami prawnymi regulującymi stosunki państwa z wszystkimi Kościołami w PRL.

Wysłuchano również informacji Głowy Kościoła Prawosławnego Jego Eminencji Metropolity Bazylego o erygowaniu nowej diecezji lubelsko-chełmskiej i konsekracji ks. Abła na biskupa ordynariusza tej diecezji.

Ks. superintendent Adam Kuczma złożył informację o posiedzeniu Centralnej Konferencji Kościołów Metodystycznego Środkowej i Południowej Europy i wyborze nowego biskupa Heinricha Bolettera, któremu również jurysdykcyjnie podlega Doroczna Konferencja Kościoła Metodystycznego w Polsce.

Prezydium zapoznano się z przygotowaniami do rozpoczynającej się 3 kwietnia br. w Wyknie na Mazurach konferencji Komitetu Roboczego Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej, w obradach uczestniczyła delegacja kierownictwa tej organizacji, m.in. prezydent ChKP ks. dr Karoly Toth z Węgier, metropolita kijowski i halicki Filaret z ZSRR oraz ks. bp Jan Michalko z Czechosłowacji.

MIĘDZYNARODOWE SYMPOZJUM PRZEDSTAWICIELI MŁODZIEŻY Z KOŚCIOŁÓW EUROPY WSCHODNIEJ

Na zaproszenie Komisji Młodzieży Polskiej Rady Ekumenicznej w dniach od 18—24 kwietnia br. w Ewangelickim Ośrodku w Wapienicy k. Bielska odbyły się obrady przedstawicieli Kościelnych

ośrodków młodzieżowych z Kościołów chrześcijańskich Europy Wschodniej.

Tematem obrad były zagadnienia związane z odpowiedzialnością młodzieży za zwiastowanie Ewangelii w dzisiejszym świecie, oraz jej zaangażowanie w realizację posłannictwa Ewangelii w pracy kościelnej.

KOMUNIKAT

z obrad 8. posiedzenia Komisji Kontaktów Polska Rada Ekumeniczna

— Związek Kościołów Ewangelickich w NRD

W dniach od 8—10 maja 1989 r. w Bad Saarow (NRD) odbyło się ósme posiedzenie Komisji Kontaktów Polskiej Rady Ekumenicznej i Związku Kościołów Ewangelickich w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Podczas obrad omówiono m.in. sytuację społeczno-polityczną i Kościelną w obu krajach. Obie strony poinformowały się wzajemnie o życiu kościelnym i zadaniach Kościołów w obecnym rozwoju sytuacji społeczno-politycznej w ich krajach. Przedstawiciele Polskiej Rady Ekumenicznej poinformowali o głęboko sięgających reformach społeczno-politycznych, a także o prawnej regulacji stosunku państwa polskiego do Kościoła Rzymskokatolickiego oraz innych Kościołów i denominacji chrześcijańskich. Wyrazili też obawy, że Kościół Rzymskokatolicki będzie prawnie faworyzowany.

Obie strony poinformowały się o przygotowanych do procesu koncyliarnego Sprawiedliwość—Pokój—Przetrawianie.

Omówiono także wspólne projekty Komisji Kontaktów:

- kontynuowanie wypoczynku dla dzieci z polskich parafii w NRD i dzieci niemieckich w Polsce;
- przygotowanie wspólnego kolegium pastoralnego i obozów młodzieżowych w roku 1990;
- kontynuowanie obozów roboczych młodzieży ewangelickiej w Centrum Zdrowia Dziecka latem br.
- kursy nauki języka polskiego dla młodych teologów z Kościołów ewangelickich NRD.

Sporo miejsca poświęcono kontaktom parafialnym. Postanowiono, że organizacje kościelne obu krajów uczynią wszystko, aby kontakty kościelno-ekumeniczne sukcesywnie były rozszerzane. Kontakty międzyludzkie w stosunkach społeczno-politycznych między NRD a Polską mają ogromne znaczenie dla kształtowania prawidłowego obrazu wzajemnych stosunków.

dokończenie ze str. 6

kiem dla tysięcy mieszkańców Hiroszimy i Nagasaki. Oprócz takich zagrożeń, istnieją przecież także inne „pokojowe” zagrożenia, jakie niesie ze sobą cywilizacja.

Oto od dwudziestu przeszło lat ekolodzy biją na alarm. Skażenie środowiska naturalnego człowieka zbliża się do punktu krytycznego, a w wielu rejonach świata przekroczyło nawet dopuszczalną normę. Wdychamy zanieczyszczone rozmaitymi, toksycznymi wyciekami powietrze, pijemy cuchnącą wodę i spożywamy nafałszowaną różnymi truciznami żywność. To wszystko odkłada się w naszych tkankach, przedostaje do krwi zagrażając bezpośrednio nie tylko zdrowiu, ale także życiu istot z gatunku homo sapiens.

Okazuje się, że człowiek — istota myśląca — w poszukiwaniu lepszego świata stworzył sam sobie świat, w którym nie czuje się ani dobrze, ani bezpiecznie. Wszeghogarniająca technika z jednej strony pomaga mu żyć, z drugiej zaś — osacza go i przytłacza. Może dlatego coraz bardziej kieruje się w stronę świata przyrody, widząc w nim azyl i ratunek.

Nie ma bowiem już dziś wątpliwości co do tego, że człowiek, aby żyć — musi współistnieć z przyrodą, i to nie tylko w czysto powierzchniowym sensie. Współistnienie z przyrodą oznacza przede wszystkim poszanowanie jej praw, nie zaś bezmyślne i niszczyielskie posługiwanie się nią dla własnych doraźnych celów. Trzeba było wielu lat, aby człowiek współczesny zrozumiał, czym jest dewastacja środowiska naturalnego i jakie są jej konsekwencje dla biologicznego istnienia człowieka.

Mimo to z wielu regionów świata dochodzą tragiczne wieści o katastrofach ekologicznych, wynikłych wskutek kardynalnych zaniedbań, tudzież planowanych przez różnych krótkowzrocznych biznesmenów inwestycjach wymagających wykarczowania znacznych obszarów lasów tropikalnych w dorzeczu Amazonki! Tak brutalna ingerencja w jedyne nie skażone jeszcze cywilizacją „płuca świata” zasługuje na miano wyjątkowego barbarzyństwa. Nic więc dziwnego, że reakcje wokół tej sprawy są aż tak gwałtowne i jednoznacznie potępiające.

W naszym niełatwym, zamątnianym i pełnym sprzeczności świecie stojącym u progu nowego wieku, walka o ochronę środowiska naturalnego człowieka jest nakazem chwili. Uderzając w przyrodę, człowiek uderza przecież w siebie. Zrozumienie tej prawdy jest równie ważne, jak przyznanie praw człowieka każdej ludzkiej istocie na ziemi.

Myślę też, że w walce o te dwa podstawowe dobra kryje się prawdziwa szansa i ratunek dla całego rodzaju ludzkiego — na dziś i na jutro.



Kościół
starokatolicki
pw. św.św. Piotra
i Pawła
w Bernie
(Szwajcaria)

Irredne pytania
Cywilizacja: szansa, czy zagłada?



ZAMEK w MIRZE

Budowa zamku w Mirze mylnie przypisywana bywa wielkiemu księciu litewskiemu Mendogowi, względnie księciu Mikołajowi Krzysztofowi Radziwiłłowi, który tylko ozdobił i wzmocnił mury już istniejącego obiektu. W rzeczywistości zamek wzniesiony został na przełomie XV i XVI wieku, a fundatorem jego był Jerzy Hlinicz, marszałek nadworny Wielkiego Księstwa Litewskiego i starosta brzeski. Umierając w 1526 roku, Jerzy Hlinicz pozostawił dobra mirskie „czterem synom, z których jeden imieniem Feliks stał się przeżywszy braci, dziedzicem całej ojcowizny”. Ożeniony z Zofią Radziwiłłówną, pozostawił jedyne syna, Jerzego.

Jerzy II Hlinicz zapisał w 1568 roku dobra mirskie Mikołajowi Krzysztofowi Radziwiłłowi, o przydomku Sierotka. W ten sposób Mir przeszedł około 1569 roku w posiadanie domu radziwiłłowskiego, a gdy książę Sierotka powoływał do bytu zatwierdzoną przez Sejm w 1584 ordynację nieświeżską, włączono do niej Mir. Ordynatów władających Nieświeżem i Mirem było siedmiu, a mianowicie: Mikołaj Krzysztof Sierotka, Aleksander Ludwik, Michał Kazimierz, Karol Stanisław, Michał Kazimierz, Karol Stanisław o przydomku „Panie Kochanku” oraz Dominik uczestniczący w wyprawie napoleońskiej na Moskwę. Był to ostatni posiadacz Mirszczyzny z rodu Radziwiłłów, po jego śmierci Mirszczyzna przeszła jako wiano na Stefanię, poślubioną księciu Leonowi Wittgensteinowi.

Na przestrzeni wieków zamczysko mirskie raz po raz bywało widnią krwawych walk. W roku 1665 zamek oblegany był i w końcu zdobyty przez Szwedów, a w roku 1706 za Karola XII Szwedzi nawiedzili Mir powtórnie i zamek spalili. Po wojnach szwedzkich zamek został jednak całkowicie odrestaurowany.

W roku 1794 zamek został zniszczony przez wojska rosyjskie. A kolejna klęska zadana została mirskiej warowni w lipcu 1812 roku. Cofający się wówczas przed nacierającym korpusem armii Księstwa Warszawskiego generał rosyjski Piatow podpalił złożony na zamku proch i w rezultacie wybuchu uszkodzone zostały mury. Odtąd w ruinę obrócony zamek był zamieszkiwany jedynie częściowo.

W roku 1895 dobra mirskie wraz z zamkiem przeszły w ręce rosyjskiej książęcej rodziny Światopołk-Mirskich, ostatnim ich księciem posiadaczem był do 17 września 1939 roku książę Michał Światopołk-Mirski. Z końcem XIX wieku wokół zamku założony został park wraz ze sztucznym jeziorem. A w roku 1904 w parku tym stała, kryjąca grobowce Światopołk-Mirskich, cerkiewka z czerwonej cegły.

Dzisiejszy Mir to miasteczko na wschodnim krańcu „Grodzińskiej oblasti BSSR”, a marszruta Nowogródek — Nieśwież, przy której leży Mir jest jedną z najpopularniejszych na dzisiejszej Białorusi. Zamek widoczny jest już z daleka. Zaraz przyciągają wzrok jego cztery baszty flankujące narożniki budowli założonej na planie kwadratu. Baszta piąta — wjazdowa — usytuowana jest po stronie zachodniej i zwrócona jest frontem ku miasteczku.

LATO

Wysokie sosny mego kraju – gdzieście? –
Koloru sarny, nagrzone upałem,
Panny żywiczne! Przynieście, przynieście,
Ten wiew swój, który od dziecka kochałem.

Pamiętam, widzę – jak wiatr idzie gęsty,
Obrywa korę na pniach, gdy się łuszczy,
I słyszę tryle, poszумы i chrzęsty:
W każdej gałęzi wiatr huczał mi puszczą.
(...)

I lasy, lasy i nagłe polany
Nabite słońcem, zamknięte dokoła,
Gdziem się układał do chmur zakochany
I zagrzebywał w marzenia i ziola.

Drzewa dalekie, powieści i dzieje
Odcięte dzisiaj, zgubione za światem,
Powiejcie jeszcze, niech się w was ogrzeję,
Jak tamten młody, jak wtedy, jak latem.

(Kazimierz Wierzyński)

Na środku miasteczka rozsiadł się czworoboczny rynek obramowany parterowymi białymi domkami. Niewiele zachowało się tu dawnych budowli, ale pozostał dawny układ urbanistyczny. Po stronie południowej stoi opuszczony i zrujnowany kościół, chodzi o mirski kościół pw. św. Mikołaja, o którym będziemy jeszcze pisali w dalszej części artykułu. Natomiast po stronie północnej mirskiego rynku stoi czynna pięknie odrestaurowana cerkiew Troicka.

Nie ma w dzisiejszym Mirze śladu po Żydach, którzy mieszkali tu do roku 1939 i po działającej tu przez długie lata wyższej szkole rabinackiej. Miejscowa ludność żydowska zginęła z ręki hitlerowców, miejscem egzekucji był m.in. teren zamku. Poza tym nie zachował się niestety pomnik Tadeusza Kościuszki. Ścianę frontową tego pomnika zdobił herb miasteczka: czarny radziwiłłowski orzeł z charakterystycznymi trzema trąbkami myśliwskimi na piersiach i koronie książęcej u góry. W okresie międzywojennym Poczta Polska poświęciła zamkowi mirskiemu osobny znaczek. A o historii zamku dowiadujemy się z bogatej literatury w języku polskim, z literaturą piękną włącznie. To niewątpliwie zamek mirski miał na myśli Adam Mickiewicz, gdy w „Panu Tadeuszu” napisał, że „hrabia... przyjechawszy z wojażu upodobał mury, tłumacząc, że gotyckiej są architektury”. Z pięknym opisem zamczyska wystąpił Władysław Syrokomla w swoich „Wędrówkach po moich niegdyś okolicach” (Wilno 1853).

„Spieszmy obejrzyć — pisze Syrokomla — ten piękny pomnik budownictwa z pierwszych lat szesnastego wieku, położony nad małym strumykiem, obwiedziony wałem, lochem i fosą, których szczątki jeszcze gdzieś widać można. Piękny to był zamek, szkoda tylko, że żadnym historycznym wspomnieniem nie uświetniony. Brama w kształcie połowy walca, nad bramą i po rogach zamku pięknej budowy baszt pięć (...) Jest to jak widzimy budowa gotycka; jeszcze się w niej przebija coś feodalnego w rodzaju średniowiecznym, ale znać już wpływy włoskiego gustu (...).

Mury porządne z cegieł, rysunek budowy czysty i pełen wytwornego wdzięku, styl gotycki, ale złagodzony okrągłymi i prostokątnymi zarysami — słowem całość piękna nosząca cechę przejścia od wieków średnich do nowych”.

Nie ma tu miejsca, aby przeanalizować wszystkie szczegóły architektury zamku mirskiego. Jednak należy powiedzieć, że fakt nawarstwiania stylów postawił dzisiejszych białoruskich projektantów przed bardzo trudnym problemem rekonstrukcji obiektu po dotkliwej dewastacji, jaka miała miejsce w latach wojny i w okresie powojennym. Rekonstrukcja ta — jak o tym piszący te słowa mógł się przekonać — odbywa się w ślimaczym tempie. Aktualnie w najlepszym stosunkowo stanie jest baszta południowo-zachodnia, a zaawansowane roboty restauracyjne widać przy baszcie centralnej. Żałonie natomiast przedstawia się zamek od strony wschodniej.

Stereotypowe recepty prowadzenia robót restauracyjnych w przypadku zamku mirskiego, okazują się nieprzydatne. Na przykład przy założeniu, że rekonstruować się będzie pierwotny, gotycki wygląd zamku z XVI wieku, należałoby usunąć styl nadany zamkowi w XVII wieku i przerobić baszty. A przy ukierunkowaniu się jedynie na XVIII wiek nieuniknione byłoby zlekceważenie dawniejszych wzorców budowy. Po długich debatach autorzy projektu restauracji zdecydowali, że obiektowi należy przywrócić jego wygląd z XVII wieku, ale dołożyć się także starań, by uwzględnić elementy architektoniczne innych epok. Jak w samej rzeczy przedstawiać się będzie realizacja tego scenariusza, pokaże przyszłość.

Nawet jednak przy swej aktualnej, okaleczonej prezentacji zamek mirski wykazuje imponujące walory konstrukcyjne. Każda z pięciu baszt zdradza pewne swoiste cechy: jedna od drugiej różni się liczbą i kształtem strzelnic i sposobem rozmieszczenia dekoracyjnych elementów.

„To skromne miasteczko było pierwszym miastem, które widziałem w życiu, w tym cichym kościele słyszałem pierwszy raz głos organów i przyjąłem pierwszą Komunię Świętą” — oto, co napisał o Mirze i mirskim kościele katolickim pw. św. Mikołaja, już cytowany przez nas Syrokomla. Fundatorem tego kościoła był w 1587 roku książę Mikołaj Radziwiłł Sierotka. Zrazu był to kościół drewniany i jako taki stał on 12 lat. W 1599 roku Sierotka kazał go rozebrać i na jego miejscu położyć fundamenty pod kościół mурowany, również pod wezwaniem św. Mikołaja, swego patrona. Poświęcenia kamienia węgielnego w dniu 21 maja 1599 r. dokonał administrator diecezji wileńskiej prałat Benedykt Wojna.

Budowa kościoła trwała sześć lat i ukończona została w 1605 roku. Podczas kopania ziemi pod fundamenty natknięto się na szkielet mamuta, który przez długie lata był potem w mirskim kościele przechowywany. Dało to Mickiewiczowi asumpt do napisania w VIII księdze „Pana Tadeusza”:

„Podobno pleban mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów zębra i piszczele”.

Dnia 21 sierpnia tenże Benedykt Wojna, już jako biskup wileński, uroczystie konsekrował świątynię w obecności fundatora.

Zainteresowanych tym dzisiaj opuszczonym i zrujnowanym, a jak się okazuje przez Mickiewicza uwiecznionym kościołem mirskim odsyłamy do monograficznego szkicu Aleksandra Śnieżki („Kościół farny w Mirze”, Lida 1937). Autor pisząc o szczególnych związkach łączących Syrokomlę z tym kościołem, m.in. przypominając, że w jego dzwonnicy znajdował się ongiś jeden z najpotężniejszych na Białorusi dzwonów.

Obok Syrokomli do związków z Mirem, jako ze swoimi stronami rodzinnymi, poczuwał się Ignacy Domeyko. Ujrzał on światło dzienne dnia 31 lipca 1802 roku opodal Mira, w majątku ziemskim Wielka Niedźwiadka nad rzeczką Uszą. I gdy u schyłku swego życia, spędzonego w dużej części w dalekim Chile, w roku 1884 dane mu było odwiedzić rodzinną Niedźwiadkę, nie obeszło się bez tego, by nie zobaczyć także o Mir. „Nazajutrz rano — motuje pod datą 10 sierpnia 1884 r. w swoich Dziennikach — pojechałem z Leonem do Mira, do grobu ojca mojego. Umarł na początku wiosny w roku 1809 i był pochowany przy Kościele unickim parafialnym, po lewej stronie od wejścia. Choć zaledwie siedem lat miałem, kiedy mię ojciec obumarł, przypominałem sobie natychmiast miejsce jego grobu”.

ANDRZEJ KEMPIŃSKI

Armia Polska w ZSRR (I)

(Dalszy ciąg fragmentów książki Władysława Andersa pt. „Bez Ostatniego Rozdziału”, wyd. czwarte, Belgia 1973 r. nakładem Stowarzyszenia Polskich Kombatanów. Przedruk fragmentów rozpoczęliśmy w „Rodzinie” nr 28)

„Zawarta 14 sierpnia 1941 polsko-sowiecka umowa wojskowa głosiła m.in.:

„Armia polska będzie zorganizowana w najkrótszym czasie na terytorium ZSRR, przy czym będzie ona stanowiła część sił zbrojnych suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej... Będzie ona przeznaczona do wspólnej, z wojskami ZSRR i innych mocarstw sojuszniczych, walki przeciwko Rzeszy Niemieckiej. Po zakończeniu wojny powróci ona do Polski... Polskie jednostki liniowe będą użyte na froncie po osiągnięciu pełnej gotowości bojowej... Żołnierze armii polskiej na terytorium ZSRR będą podlegali polskim wojskowym ustawom i regulaminom. Uzbrojenie, ekwipunek, umundurowanie, samochody itd. będą dostarczone w miarę możliwości a) przez rząd ZSRR z własnych zasobów, b) przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej z dostaw przyznanych na zasadzie Lease and Lend-... (..)

Pierwszą rozmowę urzędową z władzami sowieckimi o organizacji armii miałem 16 sierpnia 1941, następnie 19, 22, 26, i 29 sierpnia. Byłem przerażony znikomą liczbą byłych jeńców, którą podał gen. Panfilow: w dwóch obozach razem 20.000 szeregowych, a w Griazowcu ponad 1.000 oficerów. Co się stało z resztą? Wiedziałem przecież, że w roku 1940 w obozach w Starobielsku, w Kozielsku i w Ostaszkowie było ok. 11.000 oficerów, a w Ostaszkowie nadto wiele tysięcy podoficerów, szczególnie policji, żandarmerii i ochrony pogranicza.

Z dużym trudem uzyskałem zgodę na tworzenie dwóch dywizji i jednego pułku zapasowego. Jeszcze komisje nie wyjechały dla przyjęcia tych ludzi, a już termin gotowości bojowej ustalono na 1 października 1941. Było to tak nierealne, że nawet nie oponowałem. Z góry wiedziałem, że do tego czasu nawet ludzie nie będą zebrani, a gdzie broń, mundury i ekwipunek? (...)

22 sierpnia 1941 mogłem wydać pierwszy rozkaz do wojska, w którym stwierdziłem, że na mocy umów, zawartych między rządem Rzeczypospolitej a rzą-

dem ZSRR, powstają suwerenne polskie siły zbrojne na terenie ZSRR pod moim dowództwem i wezwałem obywateli polskich, by spełniali swój obowiązek i wstępować pod sztandary Orła Białego.

Powiodło mi się uzyskać zgodę władz sowieckich na opiekę duszpasterską, co stanowiło niesłychany wyłom w życiu i strukturze sowieckiej, oraz zgodę na formowanie Pomocniczej Służby Kobiet (PSK). Wiedziałem, że na równi z mężczyznami więziono tysiące naszych dziewcząt i kobiet, które także chciały oddać dla Polski swoje siły. Zarazem wiedziałem, że w ówczesnych warunkach był to jedyny sposób utrzymania ich przy życiu.

Rysem znamiennym była wzmożona religijność wszystkich ludzi, bez względu na to skąd przychodzili. Nie dziwiłem się temu, gdyż czułem to samo. Wiara w Opatrzność boską, która sprawiła tak wielki cud dla nas wszystkich, zdawałoby się, skazanych na powolną i straszliwą śmierć, była wraz z ukochaniem swego narodu i kraju naszą największą siłą duchową. Pamiętam pierwszą Mszę św. w Moskwie w kaplicy francuskiej. Jestem człowiekiem twardym, a jednak coś chwyciło mnie za gardło i łzy napływały mi do oczu. Nie wstydziliem się tego, a razem ze mną płakali starzy żołnierze, którzy niejednokrotnie patrzyli śmierci w oczy. Przypomniałem sobie wtedy kpiny enkawudystów, kiedy deptali znalezione u mnie medaliki z Matką Boską. (...)

Staralem się ustalić, jaka była rzeczywista liczba obywateli polskich wywiezionych w latach 1939–1941. Było to bardzo trudne. Zwracałem się do władz sowieckich. Ostatecznie skierowano mnie do generała N.K.W.D. Fiedotowa. Rozmawiałem z nim kilkakrotnie. Bardzo poufnie powiedział mi, że liczba Polaków wywiezionych z Polski wynosi 475.000. Okazało się jednak, że w liczbę tę nie wchodził ani przyłapani na przejściu granicy, ani żołnierze wzięci do niewoli w r. 1939, ani aresztowani podejrzewani o działalność polityczną, wreszcie nie wliczono tu ani Ukraińców, ani Białorusinów, ani Litwinów, ani Żydów, gdyż wszystkie mniejszości narodowe uważano za obywateli sowieckich. Po długich miesiącach pracy i zbieraniu wiadomości od naszych ludzi, którzy schodzili się u nas z tysięcy więźni i obozów koncentracyjnych, rozsiągniętych po całym obszarze Związku Sowieckiego, ustaliliśmy tę cyfrę na 1.500.000. Potwierdziły ją

wiadomości, otrzymane przez nas w późniejszym czasie z Kraju. Niestety ogromna część zesłańców już w tym czasie nie żyła. Bóg jeden wie ilu zostało zamordowanych, a ilu zmarło w potwornych warunkach więzień i łagrów.

Kiedy przystąpiłem do tworzenia armii, ze wszystkich stron Związku Sowieckiego ściągali zaczęli byli więźniowie i zesłańcy do miejsca postoju pierwszych jednostek. Mieli nieraz do przebycia tysiące kilometrów i do pokonania wiele trudności ze strony władz, które bynajmniej nie wykonywały lojalnie postanowień układu. Dopóki znajdowaliśmy się w granicach ZSRR codziennie do oddziałów naszych docierali nędzarze, osłonięci łachmanami, goniąc resztkami sił i zdrowia. Mieli za sobą dwa lata niewoli i poniżenia, przymusowej pracy ponad siły, widok śmierci swoich najbliższych, znajdując się tysiące kilometrów od domu i kraju rodzinnego w atmosferze terroru moralnego, który odmawiał im prawa do własnej narodowości, religii, cywilizacji. Ludzie ci mieli wrażenie, że wydostali się z piekła, o którego istnieniu na ziemi, wychowani w kraju cywilizowanym, nie mieli przedtem wyobrażenia.

I to jeszcze nie był koniec ofiar. Z czasem dotarły do mnie iście potworne, ale niestety sprawdzone, wieści o losie tych nieszczęśliwych polskich więźniów politycznych i polskich jeńców, których wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej zastał na terytorium polskim i blisko frontu. W wielu miejscowościach wymordowano ich przed odejściem wycofujących się wojsk, albo pędzono pieszo i wystrzeliwano po drodze, gdy nie mogli podolać forsowanemu marszowi, który trwał nieraz setki kilometrów. (...)

W listopadzie 1941 dowiedziałem się o zamierzonym przyjeździe gen. Sikorskiego. Gen. Sikorski chciał, zanim wyruszy do Moskwy zorientować się w stosunku Stalina do spraw polskich. W tym celu odbyła się w połowie listopada 1941 rozmowa ambasadora Kota ze Stalinem. Stalin zgodził się w zasadzie na żądania polskie, odkładając jednak ostateczne ich załatwienie do bezpośrednich rozmów z gen. Sikorskim.

Powiadomiono mnie, że gen. Sikorski jedzie do Egiptu, by tam odwiedzić walczącą brygadę karpacką, po czym przybędzie do Rosji. Udałem się na spotkanie samolotem sowieckim do

Teheranu. Towarzyszył mi szef misji wojskowej gen. Bohusz-Szyszko. (...).

Po dwudniowym pobycie w Iranie, wylecieliśmy do Kujbyszewa. Gen. Sikorski zastanawiał się, czy ma dalej lecieć samolotem brytyjskim, którym przybył do Teheranu, czy też odbyć podróż sowieckim Douglasem, który miałem do rozporządzenia. Ostatecznie polecieliśmy samolotem rosyjskim, a brytyjski miał lecieć w ślad za nami. 30 listopada przylecieliśmy do Kujbyszewa. Gen. Sikorskiego uroczyście witały władze sowieckie na lotnisku udekorowanym barwami polskimi i sowieckimi. Wystąpiła sowiecka kompania honorowa z orkiestrą, która grała hymny obu państw. (...)

W dniu przyjazdu gen. Sikorskiego do Kujbyszewa udało się nam wydać pierwszy numer tygodnika „Orzeł Biały”, w umieszczonym tam rozkazie witałem gen. Sikorskiego, w myśl uczuć wszystkich żołnierzy, jako Naczelnego Wodza.

2 grudnia polecieliśmy do Moskwy. Poinformowałem gen. Sikorskiego o złych warunkach, w jakich przebywa wojsko, o lichym wyżywieniu i o żądaniu sowieckim zmniejszenia liczebności armii do 30.000, co by było równoznaczne ze śmiercią głodową dla reszty. Wysunąłem wtedy po raz pierwszy myśl przesunięcia wojska i rzeszy wygnanych na Bliski Wschód. Gen. Sikorski zrazu odrzucił tę myśl, ale później wrócił do niej w rozmowie ze Stalinem. Przyjęcie na lotnisku w Moskwie miało charakter podobny do przyjęcia w Kujbyszewie.

Rozmowa ze Stalinem odbyła się 3 grudnia 1941 r. Obecni byli gen. Sikorski, prezes rady komisarzy ludowych ZSRR Stalin, ambasador prof. Kot, komisarz spraw zagranicznych Mołotow, dowódca Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR gen. Anders oraz sekretarz Mołotowa jako tłumacz. Ale w rzeczywistości to ja spełniłem funkcję tłumacza, protokółując wraz z ambasadorem Kotem rozmowę. (...)

Znamienne było, że gdy gen. Sikorski mówił dobitnie o nienaruszalności obszaru Rzeczypospolitej, Stalin usiłował wbić klin różnicowaniem między polskimi a niepolskimi mieszkańcami ziem wschodnich. Ale gen. Sikorski nie podjął rozmowy w duchu tego rozróżnienia i trwał przy pojęciu obszaru i granic Rzeczypospolitej. Sianie waśni między Polakami i Ukraińcami było, jak wiadomo, od XIX wieku umiłowanym sposobem Wiednia a później Berlina. Ale także polityka rosyjska, zwłaszcza sowiecka, podobnie i nawet mocniej niż dawna polityka carska, polegała na wbijaniu klina między poszczególne narodowości nie tylko na terenie Związku Sowieckiego, ale we wszystkich państwach przylegających do Związku, przede wszystkim zaś między Ukraińców i Polaków (...)

„O tej porze Warszawa zaczyna być nieznosną. Rozpalone od słońca mury kamienic dyszają ogniem, w mieszkaniach brak powietrza, a po ulicach unoszą się tumany kurzu jak po pustyni. Byłoby jeszcze pół biedy, gdybyśmy mogli co kilka godzin zlewać bruki wodą, która chłodzi i oczyszcza powietrze. Na nieszczęście i wody brak, choć według obietnic pp. Lindleyów właśnie w tym roku i miesiącu miały być ukończone nowe wodociągi.

* * *

Tymczasem na prowincji zaczęły się już pożary. Jeden z większych trafił się na Policzyźnie (gubernia lubelska), majątku p. Franciszka Wolińskiego i do gruntu zniszczył budowle z marmurym i żywym inwentarzem. Dla właściciela była to ruina; po takiej bowiem klęsce nie może być mowy ani o robotach własnymi siłami, ani o dostaniu najemnika.

Nawiasowo mówiąc, pożary u nas co rok zrzadzają większe klęski. Wysokość strat spowodowanych przez ogień dosięga już trzech milionów rubli rocznie, która to cyfra przedstawia wygodne utrzymanie dla 10 000 ludzi! (...)

... Wielką przyczyną klęsk ognia jest brak wszelkiego ratunku. W naszych wsiach, osadach i miasteczkach straż ogniowa jest rzadkością, ale dziurawe beczki i popsute sikawki prawdziwym. W skutku braku ładu i wprawy w gaszeniu ludność wobec pożaru w pierwszej chwili traci głowę, a gdy ją odzyska, już nie może opanować ognia z powodu złych narzędzi. Trudno zgadnąć, ile milionów rubli poszło z dymem dlatego tylko, że nie ma straży. Szczęściem na straże ochotnicze rząd zwrócił dziś uwagę i aby zachęcić ludność Królestwa do ich formowania ustanowił następujące [następujące] przepisy: na podaniu do ministerium o koncesję na straż ogniową powinna być podpisana przynajmniej trzecia część obywateli miasteczka lub osady, wraz z wójtem lub burmistrzem. W podaniu należy wymotywić: dlaczego mieszkańcy życzą sobie mieć straż ogniową. Niezbędna jest także przychylna o-

Sezon ogórkowy 106. lat temu czyli letnie „Kroniki Tygodniowe” Bolesława Prusa z 1883 roku



pinia władz gubernialnych. Trzeba wreszcie zawczasu zawiadomić policję o naradach obywateli nad projektem straży, bez czego projekt będzie nieważny.

* * *

W roku zeszłym dr Stanisław Markiewicz stworzył kolonie let-

nie, które utrzymały się i w tym roku, już pod kierunkiem dra Gustawa Fritschego. Kolonie letnie są przeznaczone dla ubogich i chorowitych dzieci miejskich, które po kilku tygodniach pobytu na wsi odzyskują zdrowie i nabierają ciała i sił. Bez żadnej wątpliwości urządzenie powyższe wielu malców ocala od

przedwczesnej śmierci, a więc należy do najużyteczniejszych instytucji w kraju.

Również jako objaw rozumnego postępu zasługuje na wzmiankę Towarzystwo Wioślarskie, jego wyścigi i wianki, które dla uciechy ludu urządziła z wielką wystawą. Trudno nie wspomnieć przy okazji, że gdyby nasi wioślarze kierowali się zasadami wynalezionymi przez naszych arystokratycznych hodowców koni, wówczas do wyścigów łodziowych nie powinni by stawać urodzeni w kraju Polacy, lecz albo czyste krwi Anglicy, albo od nich pochodzący mieszkańcy. Wtedy bowiem dopiero, wciąż według zasad „naszej hodowli”, zakwitłoby Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.

* * *

Rzemiosła, jakimiż są one u nas? Pocieszmy się, że będą lepsze, skoro już ministeria myślą o sposobach silnego upowszechnienia ich w społeczeństwie. Od początku tego roku szkolnego ma być obowiązkowo wykładana w szkołach początkowych nauka rzemiosł najprostszymi, jak szewctwo, krawiectwo, kołodziejstwo i im podobne, w każdej szkole po jednemu. Projekt ten trzeba bardzo energicznie popierać, a jednocześnie zabrać się do fundowania szkół fachowych dla rzemiosł wyższych, jak: ozdobne ślusarstwo, także stolarstwo, brązownictwo, wyroby galanterijne, słowem, te wszystkie, które dziś, znakomicie rozwijając się za granicą zasypują nas swoimi wyrobami ze szkodą dla miejscowych ludzi i sztuki narodowej.

wybór i układ — ed („Nowiny”: czerwiec lipiec 1983 r.)



ciąg dalszy
na str. 12

Sama zresztą także dbała o własną sprawność. (...) „Grację, wdzięk zawdzięczała swemu trybowi życia. Dzięki niemu potrafiła zachować świeżość umysłu, doskonałą figurę, niewiarygodną kondycję i wręcz młodzieńcze poczucie humoru”.

Prawie nigdy nie chorowała. A jeśli już zdarzyły się jakieś drobne dolegliwości, zachowywała je dla siebie — nie obnosiła z chorobą. (...) „Dbała o swoje zdrowie równie troskliwie jak o opinię o jego stanie”. Prawdziwym szokiem była dla pisarki decyzja umieszczenia jej w klinice kardiologicznej. Choć stan był naprawdę ciężki, stawiała warunki: „karetka przyjedzie w godzinach nocnych, kiedy nikogo nie będzie na podwórku i klatce schodowej”.

Wrodzona aktywność Magdaleny Samozwaniec nie pozwalała jej marnować szpitalnego czasu. Poświęcała go na pisanie felietonów, które ukazywały się w „Kurierze Polskim” i „Przekroju” oraz lekturę i omawianie z mężem i przyjaciółmi planów dalszych książek. Przygotowywała właśnie poświęconą siostrze — „Zalotnicę niebieską”. Książkę niełatwą, wymagającą odnowienia dawnych — również zagranicznych — kontaktów.

Po wyjściu z kliniki w tym też celu udała się do Anglii. „Po paru miesiącach pobytu (...) wracała do kraju tym samym frachtowcem, którym wypłynęła”. (...) Wyglądała bardzo korzystnie. Nie znać było na jej twarzy zmęczenia przebycia chorobą, przeciwnie jej wielkie niebieskie oczy błyszczały jak dawniej, a uśmiech nie schodził z warg”. — czytamy we wspomnieniach Zygmunta Niewidowskiego.

„Wyjazd do Londynu okazał się niezwykle ważny nie tylko z uwagi na książkę o Lilce, ale również na świadomość swojej odrębności jako pisarza i obywatela swojej ojczyzny”. Toteż w dalszych wspomnieniach czytamy: „Magdalena wielokrotnie podkreślała,

że trzeba mieć odwagę być w każdej chwili życia sobą. Stworzyła sobie własny model życia, własny system wartości, odmienny sposób patrzenia na świat.

Nigdy nie robiła tego, co starano się jej w ten czy inny sposób narzucić, co sprzeczne było z jej zainteresowaniami i wyznawanym systemem wartości. Zawsze starała się przede wszystkim zachować własną twarz (...). I dalej: „Magdalena należała do tych wyjątkowych ludzi, którzy w zaskakujący sposób potrafili radzić sobie z monotonością codziennego dnia, wzbogacać go nieoczekiwaniami tam, gdzie zdawałoby się to nierealne. Dlatego wielu zapewne uwielbiało Madzię szczerze, gdyż poczuciem humoru, swoją nieskrępowaną wyobraźnią potrafiła wnieść w życie wiele radości, której nie doznałoby bez jej udziału. Ja również należałem do nich”.

To najbardziej wiarygodne świadectwo, jakie dał w swej książce o Magdalenie Samozwaniec Zygmunt Niewidowski, mąż pisarki — stanowi poza jej twórczością najpiękniejszy portret tej doprawdy niezwyklej kobiety.

Elżbieta Domańska

Była nieodrodną — najmłodszą — córką Marii i Wojciecha Kossaków. Urodziła się 26 lipca 1899 roku, ale tak naprawdę fakt, iż przyszła na świat jeszcze w XIX stuleciu, nigdy nie miał najmniejszego znaczenia. Należała bowiem do kobiet „bez wieku” — zawsze jednakowo młoda i pełna osobistego uroku. Zawsze, ale to dosłownie zawsze, rozpieiała ją ogromna radość życia, która nawet w trudnych chwilach i szarej codzienności pozwalała dostrzegać piękno tam, gdzie ktoś inny nie widziałby tego.



Niezwykła Magdalena

Magdalena Samozwaniec — bo taki był jej literacki pseudonim — była siostrą znanej poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i artysty malarza, Jerzego Kossaka. Była też autorką wielu autobiograficznych książek oraz powieści obyczajowych i utworów satyrycznych, cieszących się niesłabnącym powodzeniem u czytelników.

Spod jej pióra wyszły książki takie, jak: „Maria i Magdalena”, „Na ustach grzechu”, „Krystyna i chłopcy”, „Komu dziecko, komu?” „Czy pani mieszka sama?” a także piękna, poświęcona siostrze Marii Pawlikowskiej „Zalotnica niebieska” oraz „Młodość dla wszystkich”. Dwa ostatnie tytuły ukazały się już po śmierci autorki.

Była też Magdalena Samozwaniec autorką wielu felietonów i wierszy satyrycznych, prezentowanych w prasie literackiej, a także na scenach teatru i estrady.

Twórczość satyryczna, do której była szczególnie predestynowana z racji niezwykle wprost poczucia humoru, stanowiła życiową pasję Magdaleny Samozwaniec. Wielką radością były dla niej spotkania z odbiorcami tej twórczości. Każde dostarczało jej niezapomnianych wzruszeń. Po każdym z nich otrzymywała potem masę listów, w których zachwyceni słuchacze dawali wyraz nie tylko swej sympatii, ale również uznania dla talentu, z jakim interpretowała swoje nie pozabawione swoistego „ostrza” utwory.

Miłość do życia, jaką przejawiała ta drobna, krucha, zawsze elegancka kobieta, udzielała się wszystkim. Nawet w podeszłym wieku nie straciła nic z tej radości. „Nigdy nie wahała się — wspomina Zygmunt Niewidowski, mąż pisarki — wybrać ze mną i znajomymi na urlop pod namioty na jeziora mazurskie. Z podziwem, ale i z przerażeniem patrzyłem na nią, kiedy bez lęku ta sześćdziesięciolatka wyskakiwała z łodzi na środek jeziora, żeby rozprostować mięśnie — jak mawiała.”

W ogóle pani Magdalena nie lubiła robić problemów z drobiazgów. Szczególna hierarchia wartości, jaką wznawiała, pozwalała przynajmniej jej oczy wszędzie tam, gdzie inna osoba reagowałaby ze zgrozaniem lub czyniła dramat graniczący z życiową katastrofą. Były jednak sprawy, których nie tolerowała w żaden sposób. Z prawdziwą bezkompromisowością tępiła wszelkie przejawy snobizmu, tępoty umysłowej i obłudy, nade wszystko zaś chamstwa i braku podstawowej tolerancji. „Z piekielną zawziętością — czytamy w książce Zygmunta Niewidowskiego „30 lat życia z Madzią” — niszczyła wszystko, co trąciło fałszem, udawaniem, co było tylko pozą życia, co wymuszone i nienaturalne (...)”.

Była zawsze i wszędzie sobą: w domu, na spotkaniach autorskich, na wycieczkach i na estradzie. Nie lubiła też, by ktokolwiek dyktował jej co i jak ma pisać.

Każdą próbę ingerowania w jej twórczość przeżywała bardzo boleśnie. Nigdy nie tolerowała żadnych zmian w tekście. Miała fenomenalną pamięć. Czytając opublikowany w gazecie czy tygodniku tekst, bezbłędnie wyłapywała wszelkie nawet najdrobniejsze zmiany.”

Natomiast zupełnie nie grzeszyła skrupulatnością. Zbieranie wycinków prasowych uważała za prozaiczne, toteż zdarzało się, że „z trudem zdobyty egzemplarz pisma z jej felietonem jeszcze tego samego dnia służył za opakowanie jakiejś paczki. Mściło się to później okrutnie. Gdy przychodziło zebrać do planowanej książki potrzebne materiały, trzeba było wysiadywać w bibliotekach, przepisywać godzinami zagubione wcześniej teksty.”

Wynikająca z niezwykle żywej natury pani Magdaleny niechęć do drobiazgów znajdowała swój wyraz również w innych przejawach życia, jak chociażby prowadzenie domu. Była wspaniałą, wyrozumiałą i troskliwą żoną, ale praktyczna organizacja życia domowego leżała poza sferą jej możliwości. Gotowanie i utrzymanie porządku było właśnie taką „piętą Achillesa”. Wychowana jak przystało na „panienkę z dobrego domu” gubiła się w tych wszystkich szczegółach. Usmażenie jajeczniczy stanowiło dla niej nie lada problem, przygotowanie obiadu było naprawdę ogromnym przeżyciem... Jeden z takich obiadów — niezwykle pochłonnym i przygotowanym specjalnie dla ukochanego męża — zakończył się nieomal groteskowo: podaniem do stołu upieczonej, rumianej ale... nie wypatroszonej kaczki!

To samo roztargnienie dawało się we znaki w trakcie poszukiwania czegośkolwiek w domowych zakamarkach. Bałaganiarski styl zwykle mścił się tu okrutnie, choć z drugiej strony odporność psychiczna na wszelkie niedostatki i niewygody, jakie przyszło jej przechodzić w trudnych powojennych latach w zniszczonej Warszawie sprawiała, że znosiła wszystko „z godnością wielkiej damy”.

Należała przy tym do osób szczególnie wrażliwych. „Zdumiewała mnie i onieśmiała jej wnikliwa obserwacja przyrody, życia, ludzi, o którą początkowo zupełnie jej nie posądzałem” — wspomina w swojej książce Zygmunt Niewidowski. Tę wnikliwą obserwację zachowała do końca, podobnie jak umiejętność cieszenia się z drobiazgów czy zupełnie — zdawałoby się dziecinne — przywiązanie do rozmaitych maskotek, drobnych pamiątek, bibelotów...

Niezwykle kochała też książki. „Każdą wolną chwilę poświęcała na czytanie, i to nie tylko w języku polskim. Przepadała za literaturą francuską, którą zdobywała w Ośrodku Francuskim, gdzie często bywała i skąd przynosiła coraz to nowe pozycje.” Jej miłość do książek powodowała, że rozumiała

też kłopoty czytelnicze innych. Toteż często pożyczala ze swej bogatej biblioteki cenne pozycje, by zaspokoić głód książki u wielu znanych jej osób. A ponieważ nie miała zwyczaju przypominać o ich zwrocie, wiele z tych cennych skądinąd książek — zmieniało właściciela...

Książka i pisanie były chyba jedynymi siłami, które mogły „uziemić” jej niesłychanie ruchliwą osobę. Należała bowiem do istot stale przemieszczających się. Podróże po kraju i wyjazdy za granicę były wpisane na trwałe w życiorys pisarki. Chęć poznania nowych miejsc, nowych rzeczy i nowych ludzi należała do trwałych cech osobowości Magdaleny Samozwaniec oraz jej siostry Marii, nazywanej w rodzinie Kossaków Lilką. Zygmunt Niewidowski przytacza w swej pięknej książce fragment wypowiedzi żony doskonale oddający zamiłowanie do wędrowek obu pań.

„Od początku przywykliśmy do podróży. (...) Nie mogłyśmy usiedzieć na miejscu. Ta chęć wędrowania nie zawsze jednak przyjmowana była ze zrozumieniem przez najbliższych. O nie! Ale to nas nie zrażało, przeciwnie, dopingowało. I tak zostało.”

Prawda była bowiem taka, że Magdalena Samozwaniec „miała w sobie coś z koczownika, wiecznego wędrowca, który sens życia widzi w docieraniu do coraz to nowych horyzontów”. Efektem owych zamiłowań, a może lepiej: pasji było zwiedzenie niemal całej Europy, części Afryki i Azji. „A z tych blisko trzydziestu lat naszego małżeństwa z całą pewnością ładnych parę lat spędziła w podróży” — czytamy we wspomnianej książce.

Była przy tym niesłychanie pracowita. Nie wyobrażała sobie jednego dnia bez pracy. Stukot maszyny do pisania dochodził więc z jej pokoju już od wczesnych godzin rannych. Wtedy właśnie powstała większość jej książek i felietonów. Popołudnia rezerwowała na spacer, „ulubione brydżki i płoteczki”. Oczywiście zawsze w interesującym towarzystwie. Rozmowy o genialnych dzieciach, wnukach i chorobach doprowadzały ją „do szewskiej pasji”. Pani Magdalena nie tolerowała ich na żadnym urlopie. „Wolała już siedzieć w upalne dni w Warszawie niż wysłuchiwać rozwrzeszczanych dzieci i zachwytów rodziców i dziadków”.

W ogóle nie znosiła stagnacji. (...) „Kochała życie, kochała wszystko, co było piękne, żywe, młode. Sama kipiała życiem i dlatego śmiercią zdawała się jej każda forma stagnacji”.

Była przy tym zawsze i wszędzie duszą towarzystwa. Nie miała poczucia czasu, opowiadała więc niekiedy w nieskończoność rozmaite historie i dykteryjki bez względu na to czy było to „przy małej czarnej” czy przy partyjce brydża. Miała też cudowny dar rozczytywania najbardziej pochmurnych twarzy. „Madzia znaczy radość życia” — mówili o pisarce przyjaciele i znajomi. „Jej naiwny, szczerzy witalizm, rozbijająca beztroška rozświetlały sarość codziennej egzystencji”.

Bardzo kochała zwierzęta. Nigdy niepozwoiliła skrzywdzić żadnej żywej istoty. Nawet dozwolone prawnie wędkarstwo uważała za prawdziwie barbarzyństwo. Znajdowała natomiast prawdziwą przyjemność w obserwowaniu zwierząt. W ich zwyczajach i rządzących nimi prawach znajdowała wiele mądrości. W kocich i psich „przeciąganiach”, skokach i innych zmyślnych „wygibasach” dostrzegała instynktowną potrzebę ruchu, zachowania sprawności i kondycji. Pod tym względem zwierzęta stanowiły dla niej nieodścigniony wzór.



dokończenie na str. 11



Wskoczył Lipiec za piec
i udaje „Greka”:
— Co? Ja mam teraz dopiec
na plaży? Ktoś na mnie czeka?

Nie chce mi się, doprawdy,
wciąż roznoszę promienie.
Czy nie mógłby ktoś za mnie?
Chętnie się zamienię.

Chciałbym poleniuchować,
pomarzyć żdziebko sobie,
a tu — tylko pracować i pracować,
i nie mieć nic innego w głowie.

Wakacje — wakacjami,
urlopy — rzecz nie nowa.
A ja — tak chciałbym się pobawić z wami!
Od pracy boli mnie już głowa!

Bo to i słońce ostre,
i noce za gorące...
Uff! Słońce jest niezmordowane
i nie wiem czemu tak piekące!

Marzy mi się pływanie,
chlapanie w zimnej wodzie,
a tu — nic tylko przypiekaj
i nie myśl o ochłodzie.

A wszystko przez to imię,
Lipcem mnie niegdyś nazwano.
Czy mam li tylko piec?
Czy więcej już nic ode mnie nie chciano?

Zmęczony jestem, chory,
czas przejść na emeryturę!
— Lipcu, Lipcu złoty,
podnieś temperaturę!

MALGORZATA KĄPIŃSKA

Zmęczony Lipiec

Podzina
— dzieciom
TYGODNIK KATOLICKI

Eugenia Kobylińska



(60)

— No i uciekł, a my nawet nie zdążyliśmy dać jemu pieniędzy trochę. Nawet Masięcki przychodził pytać, czy nie znamy adresu tego chłopca, więc nawet im było przykro.

— On nigdy żadnych pieniędzy nie przyjmował. On tylko pracować i uczyć się chciał. Cóż, kiedy ich ojciec to nie ojciec, a zwierz dziki i rodzinę całą gubi.

— Skąd ty ich znasz?

— Skąd? z początku z tą Jadwisią poznałem się na cmentarzu. Ona w lecie tam zawsze siedzi i z umarłymi rozmawia.

— Co ty gadasz?

— Tak! tak! — pokiwał głową Żynk. — Ona nie z tego świata. Tylko nie myśl, że wariatka. Jakaś święta. No przez nią to i ze wszystkimi zapoznałem się. A że niedaleko mieszkamy, bo ja tu u ciotki na stacji,

to i raz w raz wpadam dowiedzieć się, co z Jadwisią. Chora ona. Jak tylko słońca nie ma, to już jej sił brak, zaraz ją gorączka chwytą. Już tam chcieli ją zaopiekować się i zabrać, ale ona: nie i nie. Ona chce być przy ojcu i modlić się. Wszyscy ich żałują, a ona mówi: nie żałujcie, kto najbiedniejszy i najsmutniejszy, przy tym Pan Bóg jest.

— A cóż ten ojciec?

— Pijak. Ale jaki! On mógłby sobie bogato żyć, fach i domek mając. A on nic, tylko tę wódkę od rana do nocy, a w nocy też budzi się i popija. O, Jezus! Patrząc na to, przysięgam nigdy wódki nie tykać. Do ust jej nie wezmę. Za nic. I wszyscy Polacy powinni tak postanowić. Z wódki jedno tylko nieszczęście.

— Więc ty wiesz, gdzie oni mieszkają? My byśmy mogli tam pójść i coś im zanieść.

— Oj, nie wiem ja, czy co z tego wyjdzie. Ojciec wszystko im zabiera, co znajdzie. A oni nie żebraki. Tylko jeżeli dla Jadwisi dobre ludzie co z jedzenia odpowiedniejszego przyniosą — to już przyjmą. To znaczy grzeszność podarek tak dla chorej, a nie jałmużna. Tylko lepiej tam nie iść, kiedy ojciec jest i jeszcze nie napił się tak, żeby spać.

Dzwonek przeszkodził chłopcom powziąć jakieś postanowienie. Za to Zbyszek miał o czym myśleć podczas lekcji. On był do wszystkiego taki żarliwy. Jak coś robić, to robić. A on zawsze chciał coś zrobić dla innych. Teraz po lekcji pobiegł do Klimeńskiego. Nie siedzieli, niestety, na jednej ławce, gdyż zdaniem wychowawcy, zbyt wiele mieli sobie do powiedzenia podczas lekcji. Klimeński naturalnie poparł Zbyszka. Urządzić coś na święta? Wspaniale. A pójść z Żynikiem do Krystka? — jeszcze lepiej. Czy cała klasa ma nad tym się naradzać? No, więc trzeba do Karafka i do wychowawcy.

— Chłopcy! chłopcy! Nie wychodzić po piątej lekcji. Zebranie będziemy mieli.

— Czego tam? O co chodzi? — zaniepokoił się Wojecki — Zebranie będziemy mieli pojutrze.

— Ale to co innego! — krzyczał Lolek. Kowalecki proponuje urządzić coś na Boże Narodzenie.

— Dziecinada. Nie mamy na to czasu. Doskonale wiecie, jakie ważne sprawy nas czekają.

— Precz z ważnymi sprawami! — wrzasnęli nagle malcy. Durczyński, Bulecki, Paciukanis i Klimeński. — Wszystko to zrobili się nudne.

— Nie zabraliście nas do podziemia! — oskarżał Klimeński.

— Sami szepczecie, a nam nic! — irytował się Bulecki.

— A klasa licealna ciągle wywiesza nam na drzwiach takie ogłoszenie: „Ostrożnie! Tu wariaci” — rozżalił się wrażliwy Durczyński.

— Poczekaście, wkrótce już będzie gotów nasz sztandar — zachęcał ich Wojecki. — No i napisaliśmy listy do Białegostoku, do Łodzi, do Lublina i do gimnazjum Batorego w Warszawie. To tak się od razu nie robi.

— Więc na razie pobawimy się w co innego! — wystąpił ochoczo Klimecki.

Mizantrop Karafka spojrzał pogardliwie na dzieciarnię. Oni bawili się! Przedtem w nowy łąd i Madagaskar, teraz chcą w co innego. A poważniejsi uczniowie narażają dobre imię szkoły w tej zabawie, bo chcą zrobić z niej sprawę na serio. Nie, to już lepiej niech dzieciarnia sobie robi choinkę i Karafka czym prędzej stanął po stronie malców.

— Zasadniczo myśl jest dobra! — powiedział flegmatycznie. — Wychowawca na pewno się zgodzi.

cdn.



Rozmowy z Czytelnikami

„Zwracam się do Redakcji — pisze p. Elżbieta D. z województwa kaliskiego — z prośbą o pomoc, gdyż sama nie jestem w stanie uporać się z moimi problemami. Na wstępie kilka słów o sobie.

Urodziłam się na wsi i mieszkam tutaj już ponad 20 lat. Mam bardzo dobrych rodziców i rodzeństwo. Zawsze jednak byłam nieśmiała i bałam się wstydkiego, zwłaszcza ludzi. Stało się to — być może — dlatego, że prawie nikt u nas nie bywał, a wolny czas spędzałam w domu. Byłam więc pozbawiona nie tylko kontaktu z rówieśnikami, ale i wszelkich rozrywek. Czuję więc żal do rodziców, że nie przygotowali mnie do samodzielnego życia.

Ponadto jestem bardzo wrażliwa i mało samodzielna. Zawsze

przejmowałam się bardzo blahymi sprawami i nigdy nie potrafiłam sama podjąć decyzji. Po ukończeniu szkoły podstawowej, bez przekonania poszłam do liceum ogólnokształcącego... W roku 1987 zdałam maturę. Namawiano mnie wówczas na studia, lecz nie mogłam się zdecydować, jaki obrać kierunek. Wreszcie wybrałam Policealne Studium Zawodowe — Wydział Analizy Lekarskiej. Musiałam więc opuścić dom rodzinny i zamieszkać w wielkim mieście. Zrobiłam to chętnie, by wyrwać się z dotychczasowej monotonii i zdobyć trochę obycia życiowego. Doszłam jednak do wniosku, że nie jest tu miejsce dla mnie. Wydawało mi się bowiem, że nie podolałam nauce i zrezygnowałam.

Do tej pory nie mam nikogo bliskiego. Wydaje mi się bowiem, że jestem mało interesująca i niezdolna do przyjaźni; nie potrafię nawet dobrze się wysłowić... W chwilach przygnębienia tracę ochotę do życia, zamykam się w sobie i wylewam łzy. Staję się wtedy opryskliwa i nieznośna. Ogarnia mnie strach przed życiem i ludźmi... Wydaje mi się także, że jestem inna od moich rówieśników, gdyż potępiam alkoholizm i palenie papierosów oraz nienawidzę wulgaryzmu. Jednak w wielu sytuacjach czuję się bezradna i bezsilna. Nie wiem, jak postąpić w prostych niekiedy sytuacjach i uciekam od podejmowania decyzji. Ludziłam się, że gdy wydorosłeję, wszystko się zmieni. Niestety, tak się nie stało...

Obecnie znów muszę podjąć decyzję, gdyż chciałabym przygotować się do samodzielnego życia. Myślę o pielęgniarstwie. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie dręczyły mnie te same obawy, co dawniej. Wiem, że Bóg jest dobry i chciałabym przez modlitwę uprosić sobie Jego pomoc. Czasami jednak buntuję się przeciw Niemu i nie mogę

się modlić. Byłam nawet zdecydowana wstąpić do zakonu, gdyż wydawało mi się, że znajdę tam spokój i ucieczkę od świata. Czasami potrafię nawet być wesoła i wówczas czuję się dobrze. Wystarczy jednak chwila niezadowolenia i wtedy wszystko pryska. Jest mi wówczas bardzo ciężko, a nawet ogarnia mnie rozpacz. Proszę więc Duszpasterza, aby pomógł otrząsnąć się z tego”.

Droga Młoda Czytelniczko! Na trudności, jakie ostatnimi czasy przeżywasz, złożyło się cały szereg czynników. Pierwszym powodem takiego stanu jest Twój temperament. Przypomnę tutaj, że od czasów starożytnych przyjęło się — wprowadzone przez Hipokratesa (żył w latach 460—377 przed narodzeniem Chrystusa) — rozróżnienie czterech typów temperamentu, a mianowicie: choleryczny, sangwiniczny, flegmatyczny i melancholijny. W Twoim wypadku, jak to wynika z przesłanego do Redakcji listu, występuje przewaga temperamentu melancholijnego. Każdy zaś melancholik jest człowiekiem z usposobienia łagodnym, lecz biernym i niezdecydowanym. Stąd cechuje go brak impulsywności oraz silne, wolno powstające reakcje uczuciowe. Nie bez wpływu na Twój obecny stan pozostało również środowisko rodzinne oraz brak kontaktów towarzyskich z rówieśnikami, co w pewnym okresie życia jest jednak konieczne. Stwarza bowiem okazję do przystosowania się do życia w szerszej społeczności. Rodzice zaś, nie posiadając teoretycznego przygotowania, mogli w tym względzie popełniać błędy. Wychowując Cię jednak, na pewno chcieli dobrze. Dlatego nie możesz mieć do nich żalu ani pretensji.

Do tej pory korzystałaś z opieki rodziców i oni pomagali Ci w podejmowaniu decyzji.

Kiedyś jednak ich zabraknie. Dlatego już obecnie musisz „wziąć się w garść” i nie robić problemów z drobiazgów. Wyjazd do szkoły pomaturalnej, dla zdobycia praktycznych umiejętności zawodowych, będzie dla Ciebie okazją do rozpoczęcia samodzielnego życia. Musisz też uwierzyć we własne siły, gdyż jest to połową sukcesu. Pomna na opiekę Bożą, powtarzaj często za Apostołem: „Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia” (Flp 4,13).

Powinnaś też pamiętać, że człowiek — jako istota przeznaczona do życia społecznego — musi mieć kogoś bliskiego. Zaś według słów Objawienia, „wierny przyjaciel potężna obrona, a kto go znalazł, skarb znalazł” (Syr 6,14). Prawdziwa przyjaźń nie patrzy na cechy zewnętrzne, ale na wartości duchowe. Na pewno znajdziesz sobie jeszcze kogoś bliskiego. Musisz jednak wyzbyć się poczucia niższości. Nie można też widzieć świata wyłącznie w czarnych barwach. Osobiście znam wielu młodych ludzi, którzy nie hołdują wspomnianym przez Ciebie „przyjemnościom”. Musisz w to uwierzyć. Wtedy na pewno się uspokoisz i wróci Ci ochota do życia. Może nią być służba ludziom cierpiącym w zawodzie pielęgniarstwie. Bowiem i życie zakonne nie zawsze rozwiązuje wszystkie problemy. W modlitwach swoich zdobyć się musisz na wiele ufności. Zachęca nas do niej Pan Jezus, gdy mówi: „Wszystko, o cokolwiek byście się modlili i prosili, tylko wiercie, że otrzymacie, a spełni się wam” (Mk 11,24). Na pewno i Tobie będzie to pomocne.

Łączę dla Ciebie pozdrowienia w Chrystusie oraz życzę Ci pomyślnego startu w przygotowywaniu się do samodzielnego życia.

DUSZPASTERZ

PORADY WAKACYJNE

Pełnia sezonu urlopowego i jak wskazuje przykre wieloletnie doświadczenie — również nasilenie przypadków utonięć. Jak zachować się w takim wypadku? Jak pomóc człowiekowi wyciągniętemu z wody, człowiekowi uratowanemu od utonięcia?

Pamiętajmy, że u tonącego człowieka woda początkowo nie przedostaje się do płuc, lecz trafia głównie do żołądka. Dopiero kiedy na skutek niedotlenienia mózgu następuje zahamowanie odruchów obronnych, woda dostaje się również do dróg oddechowych. Właśnie w tym czasie tonący traci przytomność. Serce jeszcze wówczas pracuje przez kilka minut.

Jeśli wyciągnięty z wody człowiek jest już nieprzytomny, na-

Jak pomóc uratowanemu od utonięcia

leży sprawdzić szybko — przez ucisk tętnic szyjnych — czy akcja serca jeszcze się utrzymuje.

Po stwierdzeniu, że serce nadal pracuje, należy natychmiast przystąpić do sztucznego oddychania. Najpierw jednak trzeba oczyścić usta i gardło ratowanego ze śluzu, wymiocin i innych ciał obcych, które mogły się tam dostać. Należy w tym celu położyć ratowanego na wznak i zwrócić jego głowę w bok. Następnie palcami owiniętymi chusteczką trzeba wygarnąć z ust wszystkie nieczystości. „Wytrząsamie” wody z uratowanego jest niepotrzebną stratą czasu, gdyż woda, jaka dostała się do płuc, została wchłonięta.

Po oczyszczeniu ust podkłada się pod łopatkę nieprzytomnego watek ze zwiniętej odzieży, aby głowa odchyliła się do tyłu. Wówczas należy przystąpić do wykonywania sztucznego od-

dychania w sposób, jaki już opisałismy w poprzednim numerze naszego tygodnika. Przy zachowaniu akcji serca sztuczne oddychanie trzeba prowadzić aż do przywrócenia akcji oddechowej. Jeśli natomiast akcja serca ustała, konieczne jest równoczesne prowadzenie masażu serca.

Zabieg ten wykonuje się, gdy nie ma pewnych oznak śmierci — choć brak już tętna i oddechu — gdy można przypuszczać, że czynność serca ustała dopiero co.

Ratowany musi leżeć na wznak, koniecznie na twardym podłożu. Osoba ratująca układa nasadę jednej dłoni na mostku, w odległości 1/3 od dołu i nakłada na nią na krzyż swą drugą dłoń. Następnie wyprostowanymi w łokciach rękami wykonuje krótkie, energiczne pchnięcia. Muszą być one wystarczająco silne, aby spowodować ugięcie

mostka o 3—4 cm, nie tak jednak silne, by groziło pęknięciem żeber. U dzieci wystarcza dużo słabszy ucisk. Pchnięcia te wykonuje się rytmicznie w tempie 60—80 razy na minutę. Jeśli ratujących jest dwóch — jeden, z nich wykonuje masaż serca, a drugi bez przerwy sztuczne oddychanie. Jeśli pomocy udziela jedna osoba — musi wykonywać na przemian oba zabiegi: kolejno osiem pchnięć mostka i dwa wdmuchnięcia powietrza w usta ratowanego.

Masaż serca należy prowadzić aż do wycucia tętna na tętnicy szyjnej. Szanse przywrócenia czynności serca zmniejszają się bardzo z upływem czasu.

Pośredni masaż serca przydatny jest również w niesieniu pomocy w razie uduszenia (np. przez zasypanie piachem w wykopie) albo zatrucia (gazami spalinowymi w garażu).

Odjedzie... Komuż się teraz zwierzy, przed kim wyplacze, w czyje ramiona schroni?

Płyną ostatnie dni... Nadludzka miłość Tereni czerpie z nich wszystkie czary, by jak największy zapas szczęścia zachować na idącą samotność. Całą swoją żyjącą istotę składa mu teraz w dani. To jeszcze mocniej łączy ją z ukochanym. Staje się jego najoddańszą i najwierniejszą niewolnicą. Mdleje w jego objęciach, aby zapomnieć o rozłące, a w momentach ocknienia pyta żarliwie: — Ludeczku, nie zapomnisz? Słyszy kaskadę słów upragnionych, drży i płacze z radości. Nie zapomni!

Są chwile, że upojony aktor zamienia kłamstwo w szczerze słowa, chwytą go litość, współczucie i oświetla nawet prawdziwa miłość. Widzi bezmiar oddania, ocenia go, dumny jest z niego. Czuje skarb w tej dziewczęcej istocie, znaleziony przez siebie i porwany. On pierwszy zerwał ten kwiat. Zna kobiety i wie, że ta jedyna jest ponad wszystkie, że jest kobiecym ideałem. I chce ją kochać i czuje żal do siebie, że zmysły wzięły w nim górę nad istotną miłością. Jak ta się skończy? — nie wie i nie myśli nad tym. Samo ułoży się i skończy... Ma pięć kochanek i uczucia dla wszystkich są mniej więcej takie same. Jest motylem i szuka kwiatów... Tej ostatniej przysięga, że powróci — wierzy w to, i nie wierzy. Przeżywa chwile, z których jedna oślepia go i nawraca, inna nasyca i studzi krew znudzeniem. A są i takie co napawają wstrętem do siebie i wnikają w sumienie winą zbrodniarza. Aż wreszcie wyjazd go pociesza. Ponoć czas wszystko leczy...

Koniec kwietnia. Jutro już maj, dzisiaj rozłąka. Pyszni się wiosną w całej krasie, płynnie radość strumieniem, świat taki szczęśny dookoła. Tyle kwiatów i woni, tyle słońca, tak coś porywa duszę w błękit niebios. Płacze miłość łzami żywiołowej radości, gdzieś rwie się serce...

Terenia po godzinie muzyki opuszcza lokal starego profesora. Była dziś chwila, że profesor oniemiał pod wrażeniem jej gry. Terenia grała dzisiaj „Pożegnanie”, kompozycję profesora sprzed wielu lat. Ach, jak ją grała. Siwy pianista skrytyce lkał. Może samotnik ów miał wspomnienia młodości ze swej słonecznej ojczyzny, może... Dziś po raz pierwszy słyszał swój utwór takim, jakim go przeżył, nim napisał. Odtworzyło go dzisiaj miłość i wiosna o lży rozstania. Zeschniętym kwiatom zwróciła urok barw i pieśń w niezliczonych tonach. Ta pieśń wycisnęła dzisiaj łzę z oczu siwego starca i młodego dziewczęcia. On został pośród konnałego echa pieśni, a dziewczę biegnie oto na pożegnanie...

Terenia mijając miejsce, na którym dawniej oczekiwał ją Ludek, doznaje bólu, „Tak musi być dla ostrożności” — powtarza sobie w duszy jego słowa, i choć rozumie ich konieczność, przecież jej przykro.

Ostatni dziś raz idzie do niego. Jest dziwnie biała i z wypiekami na twarzy. Od kilku dni czuje się słaba. Męczy ją zawrót głowy, jakoweś mdłości, coś się w niej dzieje... Jest jednak pewna, iż przeogromny żal za Ludkiem tak ją ostabia.

Jakże niedługą chwilę bawi dzisiaj Terenia w mieszkaniu kochanego! Dziś aktor nie ma czasu, dziś swą najlepszą rolę odegra na pożegnanie z teatralną publicznością.

I znowu teraz ostatnie sceny gra... Pieści kochankę, pociesza, ślubuje wieczną miłość. Kurtyna spada...

Terenia chwiejnym kokiem wraca ulicą, tuląc do piersi cudną pasową różę... pożegnalny upominek od Ludka.

Wraca do domu i tłumy lzy. Zdaje jej się, że z kwietniowego ogrodu pędzi ją jakaś zawistna moc w lodową otchłań. Widmo domu staje jej w oczach.

— Wróci... wróci... — szepce do siebie w sierocym łkaniu serce, by się pocieszyć i natchnąć siłą wytrwania.

Idzie, nie widząc wokół nic, wszystką miłością i rozpaczą jest jeszcze tam, przy Ludku. Dzisiaj wieczór w teatrze jego ostatni i pożegnalny występ. Dziś jeszcze może go zobaczyć... Może będzie rycerzem, może pażem, może poetą... Jakież to straszne, nie móc widzieć ukochanego, w srebrzystej zbroi albo z lutnią! Nie móc widzieć jego gry, triumfu, i nie powiedzieć sobie wówczas w duchu — on mój!.. Tyle jej naopowiadał o swojej grze, wielokrotnie podnoszonej kurtynie, burzy oklasków, kwiatów... A ona tego nie widziała nigdy, nie zezwolono jej na teatr i nie zabrano z sobą.

Pokusa pójścia dziś do teatru gwałtownie bierze w szpony Terenię. Idzie od Ludka, a tak się jej wydaje, że go już wieki nie widziała. Jutro będzie za późno, Ludek raniem odjedzie, więc jeszcze dziś sposobność, by go ujrzyć na scenie w jego najlepszej roli... Dzisiaj, w dniu pożegnania, póki to jeszcze jest możliwe. Zwycięża miłość i pokusa i ta pierwsza w tej chwili narodzona tęsknota... Pójdzie, choćby to miała katuszami przypłacić!

Terenia ma już plan: służąca pożyczyci jej tajemnie pieniądze na bilet wstępu. To najważniejsze, wszystko inne jest jej zupełnie obojętne.

Z takim postanowieniem wchodzi w bramę rodzicielskiego domu. Ociera oczy, kryje kwiat róży, jak skarb najdroższy, i chociaż słania się jej chore ciało, dobywa sił aby nie upaść, bowiem inaczej — wszystko stracone...

IV.

Terenia przed kolacją wymyka się z pokoju. Nie pomogły perswazje starej służącej, przewidującej piekło w domu z tego powodu. Płacz przejeżdża służącą, jedyną osobę w tym dziwnym domu, która z Terenią rozmawiała po ludzku.

cdn

POZIOMO: A-1) zacisze, zakątek, B-8) miasto rodzinne gen. Bema, C-1) Bosfor, D-8) część lampy naftowej, E-1) terytorium podległe mużułmańskiemu dostojnikowi, F-7) brak, mankament, H-1) ze szczeblami, I-7) skuwka, K-1) kąt mierzony od kierunku północy, L-6) tytuł czasopisma szaradziarskiego, M-1) apel, manifest, N-6) głęboka rozpadlina, urwisko.

PIONOWO: 1-A) zwarecie dłoni przy powitaniu, 1-H) pasek patka z tyłu płaszcza, 3-A) nauczycielka zwierząt, 4-K) podopieczna Apollina, 5-A) narzędzie ciesielskie, 5-G) pismo węzełkowe, 6-K) konkurencja w strzelaniu do rzutków, 7-E) obłok kurzu, 8-A) część trasy, 9-D) pojazd mechaniczny, 9-I) w układzie krwionośnym, 10-A) na styku Europy i Azji, 11-F) typ wsi zbudowanej po obu stronach prostej drogi, 13-A) buraki z chrzanem i octem, 13-H) napad.

Po rozwiązaniu odczytać szyfr (przysłowie ludowe):

(A-6, D-12, M-3, G-3, C-10, A-4, C-7, L-7, B-1, N-13) (D-8, M-1, H-4, A-10, I-11, F-1, B-9) (H-1, G-9) (N-8, E-13, F-10, L-1, A-5).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 30”. Do rozlosowania: nagrody książkowe

Rozwiązania krzyżówki nr 19

„Głupia głowa nie da odpocząć nogom” (ludowe).

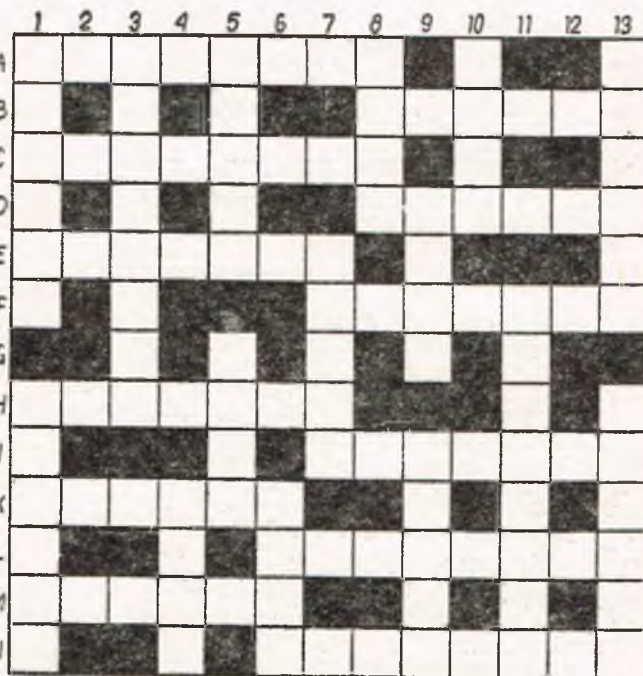
POZIOMO: kapituła, reguła, porządek, Aurora, ekstaza, milicja, replika, notatka, dekret, rozterka, święto, panorama.

PIONOWO: kąpiel, radość, peryskop, rteć, trąba, Gide, trop, Amman, arka, Urle, tętno, Igor, cysterna, nagana, Kanada.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 19 nagrody wylosowali: Anetta Wolczuk z Hajnówki i Marek Turek z Legnicy.

Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 30



rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Czardasza 16/18, 02-168 Warszawa. Telefon redakcji: 46-72-74; administracji: 46-72-74. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy: Cena prenumeraty: kwartalnie 650 zł, półrocznie 1300 zł, rocznie 2600 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach większych opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1650-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. Druk PZGraf, Smolna 10/12. Nakład 15 000. Zam. 369. A-41.



PAWEŁ STAŚKO

Jej wiosna

Powieść - romans z 1929 r.

Miłość i smutek wciąż idą w parze...

(7)

Czyjeś kobiece oczy na jednej z fotografii, tak śmiejące się dotąd, zdają się cofać w głębie orbit, a usta krzyczeć w spazmie. Czyje to oczy, że tak cofają się boleśnie? Czy wspominają swoją wiosnę i ten parawan... Może...

Tu może mieszka taki aktor, amant i gładki demon, którego sceną nie tylko ta, zamknięta w troje ścian, ta sztuczna, lecz i ta żywa, która naprawdę sztylet w piersi topi...

Zły cień, jak skrzydło czarta, został w pokoju i już go słońce nie zwyciężyło dzisiaj.

Przez miesiąc splata się pieśń szaleństwa w odurzające hymny ciała.

Miłość Tereni tak jasną i tęczową porywa żywioł ognia w nowe, nieznane wiry. Despotyczne prawo natury, odbierające wolę, pamięć i równowagę, wzięło ją w swoją władzę. Obłoczne wizje duszy i jej tęsknoty wzburzył teraz szal krwi tak, jak wichher wzburza błękitną toń jeziora. Porwał obrazy w zawrotny taniec zmysłów, opanował wszystkie dziedziny ducha i chwycił w szpony.

Całą swoją istotę składa Terenia na oitarzu miłości. Nie zdaje sobie sprawy czy błądzi, już wierzy w miłość taką, jaką przeżywa. Po pierwszym dniu oddania, po otrzeźwieniu, bierze ją w kleszcze rozpacz. Nie śpi noc całą, szłocha sercem i duszą, zdaje jej się, że popełniła jakiś straszny występki. Marzenia wydają się jej widmem, jakąś potworną zjawą. Pękły w nich złote struny miebiańskiej harfy, połamały się skrzydła, zgasył miraż. Uważa się za wyklętą grzesznicę, napiętowaną, niegodną, a żeby spojrzeć ludziom w oczy.

Po tej okropnej nocy miłość zwycięża depresję. Czułe słowa kochanka budzą w niej znowu życie. Wrażliwa młodość idzie na przeciw nowej władzy i wpada w jej ramiona. Wiosna rozsiewa czar, młodość szepce o szczęściu i rozkoszy — — — któż się obrotni tym potęgom? Te dwie wszechwładne moce leczą Terenię i podają jej ręce: oswajają ją z przeznaczeniem i namaszczają na nową erę życia. Zwalczają dziewiczy wstyd, głośzą nieprzyjemne podszepty... Ogromnieje w niej miłość już do ostatnich granic. Spełnia się postawnictwo Natury nie bacząc, jakie drogi zakreśli Los...

Terenia jest kochanką aktora, kochanką sezonową. Nie wie jednakże, że tak jest właśnie, myśl taka nie ma do niej przystępu. Ufa mu bezgranicznie i wierzy w jego miłość. Jest niezmiernie szczęśliwa jest pota-

jennie jego żoną, to — tak musi być, na razie. Później będzie inaczej, przecież zaklina się, przysięga... On nie zawiedzie, on jest celem jej życia, on jeden w świecie.

Chodzi nadal do szkoły i na kursy — trudno inaczej, wszystko musi być tajemnicą. Codziennie po lekcji odwiedza kochanego, wszak jest już jego. Rozkosz ich łączy, do nich należy cały świat. Kocha go prawie do obłędu, tęskniąc do tych wieczornych chwil. Chciałaby wołać całą siłą radości aby świat wiedział o ich szczęściu, jednak nie można. Godzi się z losem, zresztą i tajemnica ma swój urok. Nie usiłuje wprowadzić swego miłego do domu, aby przedstawić go rodzicom, lęka się tego, jak nieszczęścia. A jednak tak by pragnęła... Wreszcie i on już wie, z jej skarg, jaka tam atmosfera i nie dąży do tego...

Naraz... na szczęśny raj Tereni pada pierwszy bolesny cień: Ludek otrzymuje engagement do stolicy... Wyjedzie, musi wyjechać! Nowy horyzont sławy i powodzenia uśmiecha się artyście.

Terenia błędnie przed widmem samotności i opuszczenia. Pojmuje wprowadzić, że los przyjazny wiedzie ukochanego do wyżniego celu, że pójdzie więc ich przyszłe gniazdko, wie, że będzie do niej pisywał i przyjeżdżał, a mimo wszystko cierpienie wrażliwe jej serduszek, to biedne serce, wyrwane z lodowatych ścian rodzicielskiego domu, ogrzane po raz pierwszy za jego progami, pierwszy raz porwane szczęściem i zachwycone, wierząc wiarą dziecka w niezmienną radość i upragnioną przyszłość.

Wszystkie uczucia obudzone w tym samym sercu porywa szloch i krzyk bolesny. Dusza, nieznająca nakazów życia, ślania się w strachu, jak dziecię odrywane od piersi matki.

Ale przecież on wróci, uwije gniazdko i zabierze ją ze sobą. Wierzy, ufa i pojmuje konieczność, a jednak tak jej okrutnie żal i tak się czegoś lęka!

Konfitury można przyrządzać ze wszystkich rodzajów owoców. Przyrządzenie konfitur nie jest trudne. Kolejność czynności taka sama, jak przy przygotowywaniu dżemów, a więc:

- starannie przebieramy owoce, lekko nakłuwać igłą lub wykałaczką;
- dokładnie myjemy i osączamy owoce;
- przygotowujemy syrop;
- gotujemy owoce w syropie;
- porcjujemy do słoików i zamykamy.

Owoce oczyszcza się w zależności od rodzaju — np. pestkowe wymagają wydrelowania.

Syrop do konfitur przygotowuje się z cukru w proporcji: 1 kg cukru na 1 szklankę wody lub na 1 szklankę wyciśniętego soku z owoców.

Syropu nie należy gotować zbyt długo, gdyż powoduje to krystalizację cukru. Do wrzącego syropu wkłada się owoce i podgrzewa się je, nie dopuszczając do wrzenia syropu! Najlepiej przez cały tydzień — rano i wieczorem — podgrzewać owoce w syropie. Tak przygotowane konfitury będą miały owoce „zawieszane” w syropie i połyskliwe.

Agrest jest owocem znakomitym, nie tuczającym, zawierającym sporo wapnia, magnezu, fosforu, a nawet żelaza. Zawiera też pektyny, dzięki którym dość łatwo tworzy galaretkę. Warto przyrządzić z agrestu przeróżne kombinacje spożywcze.

Kisiel agrestowy

2 szklanki obranego agrestu, skórka z cytryny, 1 szklanka wody i cukier do smaku.

Przygotowane produkty zagotować. 1 łyżkę mąki ziemniaczanej roznieść w zimnej wodzie (około pół szklanki), przelać do rozgotowanego agrestu, zamieszać i zagotować. Można też dodać pianę ze sztywno ubitego



Kącik kulinarny

Konfitury dzisiaj: AGREST

białka — dodając ją do gorącej masy agrestowej. Masę wyłożyć do salatek. Tuż przed podaniem przybrać bitą śmietaną z owocami.

Krem truskawkowo-agrestowy

Pół kilograma agrestu obrać, umyć i zagotować z odrobiną wody. Przetrzeć przez sito. Przetartą masę lekko podgotować z pół kg truskawek. 2 łyżki mąki ziemniaczanej wymieszać w pół szklanki wody i krótko zagotować. Dodać cukier do smaku. Wylać na salaterkę. Po wystygnięciu podawać z mleczkiem waniliowym lub bitą śmietaną.

Krem agrestowy

2 szklanki agrestu przekręcić przez maszynkę, osłodzić do smaku. Z 3 białek ubić pianę, dodając 2 łyżki rozpuszczonej żelatyny i po-

woli dodawać masę agrestową, ciągle ubijając, aż powstanie puszysta masa. Ułożyć w salaterkach i pozostawić do zastygnięcia.

Marmolada agrestowa z dodatkiem dyni, malin lub truskawek

1 kg dojrzałego agrestu, 1 kg dyni, 1 kg cukru i 1 kg dowolnych owoców (maliny, truskawki, wiśnie itp.).

Owoce umyć, włożyć do rondla i gotować (najlepiej w „kapieli”, tj. wstawić rondel z owocami w wrzącą wodą, tak aby rondel z owocami był zanurzony w wodzie. Tak gotując mamy pełną gwarancję, że nasze marmolady, powidła, dżemy nigdy się nie przypalą). Gotowanie należy powtarzać przez kilka dni — idzie bowiem o odparowanie, aby nasza marmolada była gęsta. Ugotowane owoce, z których powstanie gęsty przecier, należy osłodzić, z cukrem gotować około 1 godziny (zawsze w „kapieli”). Gorącą marmoladę wkładać do słoików. Zamykać nakrętkami. Ostudzić.

Galaretkę z agrestu i czarnych porzeczek

2 szklanki soku z agrestu, 1 szklanka soku z czarnych porzeczek (lub malin, truskawek), 3 szklanki cukru.

Przebrane owoce umyć, osączyć, zmiażdżyć. Sito wyłożyć gazą. Na gazę wyłożyć owoce i pozostawić do ścięknienia soku. Pozostałą miążgę można wykorzystać do przyrządzenia zupy, kisielu lub napoju. Zmierzyć objętość soku, dodać cukier. Zagotować. Gorący płyn wlewać do słoików. Zamknąć nakrętkami, ostudzić. Przechowywać w pomieszczeniu ciemnym i suchym. Wykorzystać jako dodatek do pieczywa lub ciast.

Smacznego!

Bronisława